

# BLUSZCZ

*Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 18 STYCZNIA 1939 ROKU

NR. 5

TREŚĆ NUMERU: Mieć czy nie mieć? — *Zofja Dzieciolowska-Brykalska*. W cichej przystani — *Marja Dobrowolska*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Pieśń wedle drogi — *Zofja Reutt-Witkowska*. Na progu — *M. Znatowicz-Szczepańska*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O. S. p.* Marta z Nowickich Norkowska — *E. K.* Kobieta w świecie i w domu. Wstyd!... — *M. H. Szpyrkówna*. Hodowla kun — *A. D.* Zasady racjonalnego gotowania dla chorych i ozdrowieńców — *M. Morzkowska*, Mag. dietetyki. Kilka słów o zapachach — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Przebrania karnawałowe — *Well*. Dodatek powieściowy: „Jak kochano przed stu laty” — *Giorgia Pisani* — autoryzowany przekład *Zuzanny Rabskiej*. Tablica kroju.

## MIEĆ CZY NIE MIEĆ?

Mieć, czy nie mieć dzieci? — that is the question. Dawniej to było w ręku Boga, dziś zależy od woli i wiedzy ludzkiej i dlatego stało się pytaniem.

Dobrowolna bezdzietność — to zagadnienie, głęboko w każdą dziedzinę życia sięgające — życia zarówno zbiorowego, jak jednostkowego. I ogarnia cały spłot naszych poczynań, życzeń, aspiracji i ich etycznych wartości. Religja, względnie Kościół katolicki, jasno sąd swój w tej sprawie wypowiada — sąd potępiający. Społeczeństwo, czy państwo u nas w Polsce, gdzie depopulacja narazie nie grozi, dotąd konkretnego stanowiska zająć nie potrzebuje. A jednostka? O tem właśnie w artykule niniejszym parę słów powiedzieć pragnę.

Zagadnienie: mieć, czy nie mieć dzieci — jest zagadnieniem nowem, jeśli chodzi o szerokie masy, w szczególności zaś o inteligencję zawodową. Dawniej kobieta rodziła dzieci tyle, ile Bóg dał, chowała je, niańczyła; jedne umierały, inne dorastały. Dorastała zawsze spora gromadka. Dziś w rodzinach spotyka się jedno dziecko, czasem dwoje, bardzo rzadko więcej, a bardzo często — wcale.

Na niedyskretne pytania otrzymuje się odpowiedź, że... „czasy ciężkie...”, że „mamy czas”; lub odwrotnie: „jesteśmy za starzy”, „nie mamy mieszkania”, lub poprostu, szczerze: „poco nam ten kłopot?”

I z pożycia małżeńskiego bierze się wszystko, prócz jego konsekwencji.

Złożyło się na to wiele, wiele przyczyn. Bezwarunkowo jedną z ważniejszych jest położenie materialne, które w t. zw. średnio-zamożnej (właściwie biednej) rodzinie, rozporządzającej 250—600 zł. miesięcznie, nie pozwala na wychowanie i wykształcenie kilkorga dzieci. Jest to może najpoważniejszy argu-

ment, przemawiający za ograniczeniem ilości dzieci, bo, dając życie istocie ludzkiej, trzeba jej zapewnić minimum (a to tak dużo!) koniecznego dobrobytu i przygotować do walki z życiem moralnie, intelektualnie i fizycznie.

Jest to argument najpoważniejszy, lecz nie najcharakterystyczniejszy, nie najbardziej istotny dla współczesnego pokolenia. Takim jest raczej egoistyczne pojmowanie życia osobistego, nadmierne wymagania wygody, komfortu, a nadewszystko — swobody.

Krąg naszych uczuć — zarówno u kobiet jak i u mężczyzn — tak się zacieśnił, że na dziecko niema miejsca; z konieczności zastąpiła je samowystarczalność uczuć i myśli. Emancypacja kobiet, ich udział w życiu społecznym i politycznym wpłynął również na prąd dobrowolnej bezdzietności, ale nie tak silnie, jak wyżej wspomniany, ciasny egoizm. I nie tak bezpośrednio. Bo bezpośrednią przyczyną może być praca zarobkowa kobiet, ale to już nie emancypacja, jako taka, a jedno z jej następstw. Emancypacja idzie po linii, równoległej do instynktu macierzyństwa, nie ma z nim żadnych stycznych, więc nie może mieć wpływu na bezdzietność.

Jeśli zaczniemy skrupulatnie szukać przyczyn, to znajdziemy jeszcze jedną, charakterystyczną dla ludzi, którzy mają jedno lub najwyżej dwoje dzieci. W czasach dzisiejszych, które nazywamy epoką dziecka, stawia się sprawę pielęgnacji i wychowania — zarówno fizycznego, jak i pod względem rozwoju charakteru — tak wysoko, że, aby wymaganiom tym sprostać, niepodobna otoczyć się gromadą dzieci. Słusznie starsze panie mówią dzisiejszym młodym matkom: — „myśmy z siedmiorgiem dzieci nie miały tyle kłopotu, co wy z jednym”.

Dosyć — o przyczynach. Z faktem istniejącym trudno się nie zgodzić. Należy się jednak zastanowić, jakie są wartości, zarówno ujemne, jak i dodatnie, owego prądu do ograniczania ilości dzieci.

Tu trzeba odgraniczyć małżeństwa bezdzietne (myślę ciągle o bezdzietności dobrowolnej) od małżeństw, które mają jedno dziecko, a takich jest chyba najwięcej.

Rozpatrując sprawę pod kątem widzenia interesów dziecka, sądzę, iż warunki rozwoju są dla niego o wiele lepsze, gdy wychowuje się z rodzeństwem. Przedewszystkiem dlatego, że rodzina jest dla niego wówczas terenem, przygotowującym do życia zbiorowego. Obcując z innymi dziećmi, uczy się „ustępować”, uczy się opiekować słabszym (choć je nieraz pobije), uczy się poszanowania prawa (znane są te „umowy prawne” dzieci: biada temu, kto jej nie dotrzyma!)

Tego wszystkiego dziecko nie nauczy się, obcując dorywczo z rówieśnikami na wizycie, gdzie wogóle wszystko jest jakieś odświętne, nie-codziennie, a przez to jakieś nierealne; gdzie każda sprzeczka przez obie mamy jest czempredziej łagodzona, kosztem nieraz prymitywnych wymagań wychowawczych.

Jedynacy wyrastają *czasem* na dzielnych ludzi, ale bardzo rzadko są dzielnymi dziećmi. „System jednego dziecka” stanowczo nie jest... najlepszym. Bez względu na interesie dziecka leży, by chowało się z rodzeństwem. Zbyt liczne jednak rodzeństwo może być krzywdą dla dziecka, gdy materialnie nie można sprostać wychowaniu tylu dzieci i gdy przerasta to wytrzymałość rodzicielki i wychowawczynie w jednej osobie, zarówno pod względem zdrowia fizycznego, jak równowagi psychicznej, które to dwa czynniki stanowią warunek nieodzowny prawidłowego rozwoju dziecka.

A jakie skutki ta abstynencja od dzieci wywiera na samych małżonków? Teorja Freuda, który wszędzie widzi popęd płciowy, erotyzm, ogarnęła świat cały i — nie zbankrutuje jeszcze prędko.

Abstynencję płciową uważa się za grzech przeciw naturze. Nie nadużywajmy tego zwrotu. Bo jeśli naturalnem jest życie płciowe, to nie mniej naturalnem jest... mieć dzieci. I jeśli abstynencja ma być powodem wszystkich, lub przynajmniej wielu zbroczeń, schorzeń nerwowych i t. d., to abstynencja od dzieci musi mieć również odnośniki w różnych zaburzeniach psychicznych.

Osobiście sądzę, że brak dziecka w rodzinie jest rzeczywiście przyczyną pewnych powikłań... Sam sposób zapobiegania, czy przerywania ciąży jest rujnąjący dla zdrowia. A dodawszy do tego ciągłą obawę, że może... jednak... mimo wszystko... Jest to genezą wielu zapewne wypadków ciężkiej, a niesłusznie ośmieszanej choroby, zwanej histerją. A jeśli przyjmujemy, że dusza ludzka ulega pewnej ewolucji, pewnej — stale zachodzącej — przemianie od narodzin

do śmierci, to musimy tu pierwszorzędne znaczenie przypisać uczuciom macierzyńskim i ojcowskim.

Na porządku dziennym obserwujemy kolosalne zmiany, jakie zachodzą w ludziach, gdy zostaną rodzicami. Z kobiety roztrzepanej, flirtującej, lekkomyślnej staje się uważna mateczka, czuła na każdy ruch, na każdy grymas buzi swego maleństwa. Z kobiety egoistycznej; żadnej tylko własnych przyjemności, powstaje nowa istota — serce swe, pracę i troskę oddająca dziecku.

Mężczyzna reaguje na ojcostwo nie tak drobniawo, nie tak w szczegółach, ale sama ta дума (nie ma z czego!), gdy mówi: mam syna! — dowodzi, że coś tam w duszy zaszło, coś powstało. I jego życie wraz ze swymi aspiracjami koncentruje się w dziecku.

Tak, nietylko zewnątrz zmienia się życie małżonków z chwilą przyjścia na świat dziecka. Dusze ich żyją wtedy życiem bujniejszym, żyją intensywniej, bogaciej. Skala uczuć rozszerza się z ciasnego koła osobistych przeżyć na przyszłe pokolenia. Otwiera się tajemne okienko nieskończoności bytu...

Z punktu widzenia szczęścia, takiego zwykłego, egoistycznego szczęścia, dziecko stanowi moment, to szczęście umacniający. Przecież to nietylko czcza literatura, pusty frazes, że uśmiech dziecka... to szczęście matki. Ale to zrozumie tylko kobieta-matka.

Dziecko w każdym okresie swego rozwoju daje mnóstwo rozkoszy. I cierpień. Zapewne. Choroba, kalcetwo — to straszne widma macierzyństwa i ojcostwa. A brak zdolności do nauk, a krnąbrność, samowola... a jak się czasem przyplącze jakaś straszna, a nieprzewidziana wada?

No, tak. Nasuwa się porównanie do róży z kolcami... To jest życie. To jest właśnie życie, które mieści w sobie całą skalę odczuwań — od radosnych uniesień do skrajnej rozpacz. Lecz, rzuciwszy na szalę dobro i zło macierzyństwa, stwierdzić należy, że dobro przeważa, choćby tylko dlatego, że ma za sobą wolę Boga i wolę natury.

Nie odpowiedziałam dotąd na postawione sobie w nagłówku pytanie: mieć, czy nie mieć dzieci? I nie odpowiem, nie kuszę się nawet odpowiedzieć na tak skomplikowane pytanie. Stwierdzam tylko, że są dwie drogi: mieć, *albo* nie mieć. I aby wybrać jedną z nich, trzeba... trochę pomyśleć. Bo zbyt łatwo, zbyt pochopnie wyrzekamy się dziś tego, co dziecko dać może. Dziś niema już o tem mowy, by rodić dzieci bez liku — nawet z punktu widzenia społecznego i nawet u narodów, gdzie większy przyrost ludności jest pożądany — bo nie tyle chodzi o ilość, co o jakość pokoleń, które następują. Ale bezdzietność wypaczyć może pokolenie współczesne, a „system jednego dziecka” da jednostki nieuspołecznione i biedne, bo w przyszłości samotne!

Dziecko jest podstawą rodziny i jedynym realnym łącznikiem małżonków. Miłość przemija często,

aż zbyt często — uczucie macierzyńskie, czy ojcowskie trwa zawsze, niezmiennie, nie ulega rozczarowaniom, zawodom, nawet, gdy dziecko nie spełnia pokładanych w niem nadziei. Epidemja rozwodów jest między innymi skutkiem bezdzietności — pożycie dwojga ludzi odmiennej płci traci sens, logiczną podstawę bycia.

Nie ulega wątpliwości, że rodzina wkracza obecnie w nową fazę rozwojową, że ulega zasadniczym przemianom. Nie może nią być jednak wyeliminowanie dziecka.

MARJA DOBROWOLSKA

## W CICHEJ PRZYSTANI

Nadwiślański wiatr buja na praskim wybrzeżu i, płacząc się pomiędzy parkanami Florjańskiej ulicy, uderza o fasadę narożnego domu, całkowicie odartego z tynku. Zniszczony dom nosi wyraźne piętno przedwojennego stylu. To też oko z ulgą spoczywa na tablicach z Polskim Czerwonym Krzyżem, głoszących, że on tu dziś gospodarzy. Ciężkie narożne drzwi i szerokie schody prowadzą na pierwsze piętro, gdzie mieści się Schronisko Weteranów 1863 r. Spokój, czystość i ciepło uderza odrazu na progu Schroniska. Szeroki, czerwony chodnik tłumi kroki na korytarzu. Po obydwu stronach mieszczą się pokoje pensjonarzy.

Honorowa opiekunka, p. Janina Korsakowa, od wielu lat wypróbowana w twardej pracy społecznej, oprowadza po Schronisku z zapałem i radością.

— Jestem tu opiekunką z ramienia Oddziału Warszawskiego Pol. Czer. Krzyża. Rok temu zastałam brud, nędzę, robactwo i przygnębienie. Nie wiedziałam, jak sobie z tem poradzę. Trzeba było wszystko szorować, odnawiać, naprawiać. Chodziłam, wypraszałam. Dostałam wreszcie kredyt na remont i teraz go spłacam z sum, które dostaję na utrzymanie.

— Kto daje pieniądze?

— Wydatki pokrywa Ministerstwo Opieki Społecznej. Mundury i obuwie daje Min. Spraw Wojsk. My (Czerwony Krzyż) dajemy mieszkanie, całą administrację, umeblowanie, pościel i stałą opiekę.

— Jaką pensję mają weterani?

— Dostają 125 zł. miesięcznie, z czego potracą im Ministerstwo 100 zł. na utrzymanie. Reszta zostaje im na drobniaki, których nawet nie wszyscy potrzebują. Mają wszystko, co im potrzeba. Pożywienie obfite, a obiad jest codziennie legumina! — dodaje z dumą.

— Ilu macie pensjonarzy?

— Obecnie 15 weteranów i jedną weterankę. Ale miejsc jest 20. Zresztą chodź, pokażę ci wszystko.

Nie każdy może mieć dzieci, nie każdy je powinien mieć. Ale każdy, kto ich nie chce — powinien pomyśleć, czy czasem nie odtrąca zbyt wielkiej wartości swojej egzystencji.

Depopulacja Polsce nie grozi, ale przyrost ludności nie rozkłada się równomiernie na wszystkie sfery i „wyludnienie” może grozić sferze t. zw. inteligencji, która stanowi, pomimo wszystko, najistotniejszą część społeczeństwa.

A więc: „mieć, czy nie mieć?”

Zofja Dzieciolowska-Brykalska.

Otwiera drzwi pokolei. Pokoje duże, bardzo czyste, w oknach żółte firanki — stary; łóżka wygodne, wieszaki obciążone płótnem, trzcinowe fotele. Prawie wszędzie trochę osobistych drobiazgów.

Pensjonarze mieszkają po dwóch w większych pokojach; bardziej sterani wiekiem lub chorobą mają mniejsze, pojedyncze pokoje. Rekrutują się z różnych okolic i różnych warstw społecznych. Są zupełnie samotni; są tacy, co, będąc w najlepszych stosunkach z rodziną, wolą dożywać dni swoich w Schronisku. Najmłodszy ma lat 82, najstarszy 96. Rangi wojskowe od szeregowca do porucznika.

Ostrzegawcze, bardzo pouczające napisy głoszą, jak i gdzie należy się zachowywać, aby czegoś nie uszkodzić. Bo aczkolwiek kierowniczką, p. Hopferowa, mieszka w Schronisku i stale pilnuje swych starych dzieci, jednak bez takich napisów nie może sobie dać rady.



Wigilja u weteranów.

— Czy macie świetlicę?

— Nie mamy wolnego pokoju — mówi p. Korsakowa. — A zresztą moi starszankowie wolą być sami. Wspólne zebrania męczą ich. Próbowaliśmy czytać im głośno, ale to ich nie interesuje. Ale zato lubią spacer! Okazuje się, że świeżo zdobyty, czerwony, kokosowy chodnik, jest przedmiotem ich stałej adoracji. „Bo nogi się nie ślizgają”. Wychodzą tedy po kolacji, około 6-tej na korytarz na spacer i drepczą na chwiejnych nogach tam i zpowrotem po chodniku. I liczą kroki. Jedni chodzą o własnych siłach, inni wsparci na kijkach. Drepczą, pogwarzają, czasem się kłócą (są między nimi gwałtowne animozje!), czasem żartują i dogadują sobie. Bo oto jeden na przejście chodnika zużywa 55 kroków, a inny aż 66! Niedościęzionym ideałem w tym względzie jest kierowniczką, która robi tylko 50 kroków.

Kiedy wracamy z oględzin do kancelarii, rozlega się ciche pukanie do drzwi. Wchodzi siwiuteńki starszanki i starodawnym zwyczajem kłania się nisko ode drzwi, rękę schylając do kolan. Potem nachyla się również nisko i tklawie całuje ręce opiekunki i kierowniczką.

— Bo to proszę łaski pani, chciałem wedle tego papirusu.

Po załatwieniu sprawy, starszanki, usadowiony wygodnie na krześle, gestykulując drżącymi rękoma, spokojnym głosem opowiada.

— Jestem szeregowiec Michał Krystofik, lat 92. Służyłem za furmana w Rzeczyce u pana Schweitzera. To my oba z panem pojechali w kwietniu do powstania. I dużo panów pojechało.

W Osuchowie, to była pierwsza organizacja. Jechali my na Nowe-Miasto i Żarki. Pierwszy dowódca był Drewnowski, a Grabowski dowódca kawalerji. Uni mieli ordynansów oficerów. To jeden dowódca nas „zaprzedał”. A my wyjechali w piątek i jechali całą noc po wodach. Jak skowronki śpiewali, to my dojechali do Ułowa, a tam moskale. Bór taki, okopy.



Dwaj towarzysze broni.



Obiad metelanów.

Gnali nas moskale, garkuchnię zabrali. Gnali, bez soboty, i niedziele, i poniedziałek do wieczora, aż rozbili. To powstańcy rozrzućili most, ale zdrada była i zasłi nam front. Uciekło nas 20, w rozsypkę.

Tu wstaje, odchyła rękaw i przy pomocy kierowniczką pokazuje roztrzaskane ramię.

— To kozak me ciuł. Jechałem bez trzy wiorsty na kuniu i nic, a potem krew lunęła. To me konsyljorz opatrzył. A potem, to my znów jechali na Roznieszew, Korytków. Dyszcz padał. Pałac w lesie okropny. Już słuńce miało zachodzić, jak my dojechali do pałacu. A tu stała pikietą, zobaczyła moskala i dała odgłos. Pierwszy pluton pojechał zlustrować, ale moskale pochowały się w olszynie. To dowódcy rozbroiły pikietę, bo myślały, że fałszywy alarm i posadziły za karę na płot. A jak sie zmirzechło, to moskale nas wszędy otoczyły. Kto ucik, to ucik. Pana Sokołowskiego złapali. Kozaki goniły przez okop nad Wisłą. Pan Żuławski z Pękosiewskiej Woli uciał w bagnach razem z panem Rudawskim. Podlesny dał przewodnika i jeździli od dworu do dworu. Wróciło pionciu.

Na chwilę starszanki przerywa, twarz oblaną wy-piekami podnosi i mówi dalej.

— Raz to se chciałem urznać wierzby na piz-czałeczkę, kole obcego dworu. A tu kozaki me obsta-piły. Pytajo, czy tutejszy? Mówie, że tak. To uni wo-lajo ludzi ze wsi, a ludzie me zaparli. To me pokładli i bili nahajem od głowy do piętów. To jak nie mo-gem strzymać, to krzycze: — powiem, panowie, po-wiem! — To przestali. To znów nie mówiulem. To me tak dwa razy pokładali, że już cały byłem we krwi. Puścili me i dali soltysowi pod dozór. To jak mi sie lepi zrobiło, to ja bez okno i poszoł! Ale nie powiedzio-łem, choć wiedziołem. Bo tam pod mostem to byli za-kopane broń i naboje. To jakby ja powiędzioł, toby cały dwór roznieśli. To jakże. Uciemem pod Nowe Miasto.

Tak było od kwietnia do 18 grudnia na drugi rok. A jeden dziedzić to nas zebrał 10 do Mogilnicy, na

przysięgę. Objaśnili, że kto przysięgnie, to będzie wolny, a kto nie — będzie rozstrzelany. My przysięgali, ale nie w kościele, a na plebanji. Siedział pisarz i pisał, jak ta pani — (wskazuje na mnie) — a ruskie oficery patrzyli. A ksiuondz chodził z krzyżem i dawał nam całować. Ale nie dał Pana Jezusa całować, ino tył krzyża, ino tył krzyża. My płacili po 3 ruble i nam dali taki bilet. Tylko bilet pokazali, to nikogo nie ruszali moskale. To my byli wolni.

Staruszek zadowolony ze wszystkiego w Schronisku, nie lubi wychodzić. Raz poszedł z weteranami do teatru. Wrócił niezadowolony, rozgoryczony.

— Jo tam nie wiem, co to. To sie taka szafa otworzyła i wysli panowie i panie tak pięknie ubrani. I zaczęli se tak opowiadać. A koło mnie z jednej strony kolega, z drugi strony drugi i słuchają. To jo wyszedem. Jo ta niezwycajny podsłuchiwać, co państwo do siebie gadają. A te chamy to się ostały i podsłuchiwały.

Purpurowe wypieki na twarzy staruszka mówią o wzruszeniu, to też kierowniczką, obawiając się dlań przemęczenia, wysłała go do pokoju. Odchodzi, i znów odedrzwia kłania się ręką ku samej ziemi.

W tejże samej chwili rozległo się ponowne pukanie i gołębioso-wa głowa wsunęła się do środka.

— To najbardziej rozkapryszony z naszych wychowanków. A czego pan chce, panie L?...

— A bo to, proszę pani opiekunki, pani, to mój anioł. Niech pani ulituje się nad moją nędzą. Mole mnie tak gryzą. A boki boją, tak twardo.

— Przecież pan ma siatkowy materac, i siennik, i materac, i koc, i dwie poduszki! Ale dam panu piernat.

— O, proszę pani, niech pani wolnych żartów ze mnie nie stroi! Ja — i piernat!

Głaskanie po głowie i głośne zapewnienia w o-głuchłe ucho uspokajają wreszcie staruszka.

Na wszelkich zebraniach deklamuje odwieczny wierszyk, a do opiekunki pisze tklive poezje:

„W imie Trójcy Przenajświętszy

„W imie Najświętszy Marji

„W imie calego Nieba składamy,

„Składamy szeczere zyczenia

„Słowy Anioła Gabryela.“

Do cichej kancelarji wchodzą staruszkowie, wynajdując sobie tysiączne interesa. A wszystko to jest

pretekstem do pogadania z opiekunką, która jest dla nich Alfa i Omega.

Wreszcie przychodzi jeden z najmłodszych pensjonarzy, podporucznik Robert Łaszewski, lat 85. Na piersi nosi z dumą Krzyż Walecznych.

— Jako uczeń, z wiedzą rodziców, poszedłem do powstania ze szkoły w Płocku. Przeprowadziłem się przez Wisłę do Radziwia. Dostałem się do partji Orłowskiego i o niej tylko mogę mówić. Partja składała się ze strzelców, kawalerji i kosynjerów. Byłem w powstaniu około roku.

Największe wrażenie wywarła na mnie formalna bitwa pod Żdżarami. Wzięliśmy do niewoli 4 oficerów i doktora. Zginęło 11, czy też 14 moskali. Moskale cofnęli się za wzgórza i lasy. Szliśmy w partyzantkę, na ochotnika, za nimi. Zauważyłem, że obdzierali własnych trupów i zostawiali tylko w koszulach.

Po bitwie pod Żdżarami dowódca rozpuścił strzelców i kosynjerów, zostawił tylko kawalerję. W dalszą drogę jeździliśmy zwykle „na podwodach“. Po zwolnieniu tułałem się długo wśród obcych i swoich. Wreszcie zabrali mię moskale do Ostrołki i musiałem służyć w wojsku. Po wojnie rosyjsko-tureckiej zwolniono mię po 13 latach służby.

Usłyszawszy podziękowanie, p. Łaszewski z galanterją zaznacza, że miło mu jest rozmawiać z damą, jako że jest prawie najmłodszy z weteranów.

Jedyna weteranka w Schronisku, p. Henryka Daniłowska, ma pokój miły, owiany tchnieniem kobiecości. Na stole rozstawione śliczne, stare srebra. Staruszka tylko odpowiada na pytania, ma lat 92. Udział w powstaniu brała pośredni, gdyż mąż był urzędnikiem na służbie rosyjskiej. Ukrywała tedy tylko dokumenty, ulotki. Jakże, czyje — nie pamięta nic.

W pokoju kierowniczkii — curiosum. Dywan i poduszka, pracowicie ześcibione rękami 92 letniego weterana — krawca. Siedział starowina tygodnie całe i zeszywał na okrętkę kawalki mundurów i podszewkę na tło, a amarantowe rabaty na gwiazdy. Zamiast guzików obciążał płótnem ustniki od papierosów, haftował niemi do szycia. Na podszewkę dał ulubiony kolor kierowniczkii, niebieski... płócienko na pierzynie w niebieską kratę! Pani Hopferowa, opowiadając o tem, nie może powstrzymać łez.

Wkrótce zamykają się cichutko drzwi Schroniska, ażeby żadnym wstrząsem nie zakłócić zasłużonego odpoczynku tych, co walczyli z wiarą w przyszłość Ojczyzny, nie mając nadziei, że będą ją mogli oglądać własnymi oczyma przez łzy szczęścia.



## ZAWALIDROGA

(powieść)

Odepchnięty tak lekką ręką, Franek rozmyślał o odwecie. Nie poto, żeby matka zrozumiała, co o niej sądzi, ale dla siebie, żeby przynajmniej siebie czemś zadowolić. Pocieszała już poniekąd ironja, albo jakieś urągliwe słowo o Oli, bo matka broniła jej z przesadną żarliwością. Zato na Oli można się było mścić innymi sposobami, choćby tem, że jej nie raczył widzieć, że skąpił jej nawet ukłonu, gdy się spotykali w przedpokoju. Niby to nie zważała na niego, ale przecież raz zatrzymała się i zmierzyla go złemi oczyma. Z rękami w kieszeni czekał, co mu powie, nie wiedząc jeszcze, jakimi słowami będzie ją mógł najdotkliwiej urazić. Rosła, ze sterzącymi piersiami, szła wprost na niego, niby w ataku na bagnety. Gdy już była blisko, parsknęła mu śmiechem w twarz.

— Trzeba się uklonąć damie, kawalerze.

— Można się uklonąć, gdy się ma na to ochotę.

— A czemu to brak tej ochoty?

— Właśnie, bo jej brak.

Zakręcił się na pięcie i odszedł wyprostowany, prawie przegięty wstecz, z piersią pełną chichotu. Wreszcie pękła bomba, a teraz niech sobie szuka satysfakcji!

Ola, oczywiście, poskarżyła się matce.

— Musisz ją przeprosić, inaczej nie może być, musisz ją przeprosić.

— Dygąć przed nią nie będę!

Oh, nauczywał sobie dowoli, gdy go tak matka pouczała o obowiązku grzeczności. Powiedziała mu wreszcie: — Żądam, żebyś ją przeprosił, nie ścierpię tego, żeby u mnie w domu...

— Mogę ten dom opuścić, mogę ci zrobić tę łaskę!

Wybiegł z domu, niosąc poprzez ulice żagiew gniewu. — Nie wróci, nie wróci, nie będzie ulegał, ani przepraszał, ani już wogóle nie chce z tem mieć nic wspólnego! — Szedł Guliwerowym krokiem, choć serce kurczyło się już lękiem, czy Wawar go przyjmie. Wiedział przecież, jak sobie dobierał to mieszkanie, aby było wygodne i jak się już wżłobił w swoją ciszę, niby ptak w gniazdo.

— Tylko na parę dni — powiedział mu Franek stojąc na progu — tylko na dzień, dwa, dopóki sobie nie znajdę pokoju i pracy.

Potulne słowa raniły krtań, prawie czuło się słony smak krwi, ale to były tylko łzy wstydu, które nie doszły do oczu, udających pewność siebie.

Wawar przychodził o świcie i spędzał Franka z łóżka, więc zmęczony i zziębnięty Franek zasypiał jeszcze na krześle. Gdy się budził, Wawar spał i trzeba było, jak po wacie, stąpać cichutko. Oddech śpią-

cego napełniał pokój jednostajnym szmerem i o niczem innym nie można było myśleć, tylko o swoim kroku, który jest może jeszcze zagłošny, o pluskaniu wody zanadto metalicznym. Nawet jakiś krzyk na podwórzu wydawał się własnem przewinieniem.

Około południa budził się przyjaciel i odrazu stawał się gościnnym gospodarzem. Doprawdy, przygarnął Franka z serdecznością, choć nibyto przemawiał surowo: — Nie trzeba się rozczulać nad sobą!

Bo tak właśnie było, że Franek skamlał przeprosinami i podziękowaniami, układając niezręczne zwroty na temat wdzięczności. Musiał przecież zawsze o tem pamiętać, że teraz zmieniły się role: on miał być tym opiekunem, a właśnie sam korzystał z łaski. Nie wiedział dotąd, jak trudno jest znieść czyjeś dobrodziejstwo, i że wdzięczność bywa bezsilnym buntem przeciw łasce. Dopiero, gdy mijały owe gościnne śniadania, gdy od cieplej herbaty nagrzewały się wnętrzości, jakieś inne sprawy dźwigały się w rozmowach przyjaciół.

Może dawała im początek sytuacja Franka, a może były tylko bezustannie nurtującą myślą Wawara i brały się z innego świata. Tu, w tym cichym pokoju, oddzielnym żółtkami firankami od jaskrawego światła dnia, poznawał Franek sprawy, o których niewiele przedtem wiedział. Wawar zagarniał bowiem krzywdy ludzkie masowo. Tłumiły się, mrowiły, łączyły w olbrzymie i potworne oblicze nędzy, przerażały, jak oczy Meduzy. Zaczem wyluskiwały się programy, których czerwonym inicjałem był akt zemsty, a paragrafami — raj na ziemi. Wawar mówił:

— Tacy, jak ty, staną się niepotrzebni. Wytepiamy indywidualistów, sobków, którzy werteryzują w zaciszach swojej jednostkowej niedoli.

Zapewne, małały w tych słowach własne sprawy, jak perła, rozpuszczana w winie, ale jednocześnie trwał żal za czemś, co jest własne, choćby było nawet tylko osobistem cierpieniem. Nieśmiało, jak skarcone dziecko, powracał do tych cierpień i właśnie dziecinnie rozmyślał o domu, o matce. Niech się tam martwi, że przepadł, niech tam rozpacza! — I znowu słuchał o ludziach, którzy mieszkają pod mostem, o katordze więzień, aby pogardzać sobą, małością swoich uczuć, uporem rozczuleń nad sobą.

Bo jednak te własne sprawy były zbyt bliskie i dotkliwe, a dyskusje wyrzucały je niemal nawierzch. Po paru dniach już całkowicie przegadanych, już aż radto ciężkich od wyzyskanej gościnności, Franek wyszedł z domu, szumiącego jeszcze snem Wawara. Szerniały i zrozpaczony, włóczył się po ulicach, przy-

równując się do żebraków i nieponiów. Właśnie utracił lekcje, bo uczniowie nie robili postępów, a w „Nowej Sztuce“ nie chcieli mu umieścić wiersza, więc nawet Hanka wydawała się mniej przychylna i napewno zanadto uprzejmie rozmawiała z kolegami. Wszystko tworzyło jakby jeden kompleks niepowodzeń.

Odwilż rudą strugą płynęła po ulicach, niosąc fale tłustego bulgotu, aż wreszcie rozchlapał się deszcz ze śniegiem i nędza przemoczonego palta sprzymierzyła się z wszystkimi smutkami. Zawstydział też głód, który nie chciał darować nawet tego porannego posiłku: — Nawet tyle nie potrafię wytrzymać, żeby parę godzin bez jedzenia... Tylko bułki widzę i wędliny!

Idąc powoli, bez celu, schodził z wielkich ulic w małe, czarne od błota uliczki, rozjaskrawiane niespodzianym wybrykiem szyldów. Jezdnie, natłoczone stękającymi furami, dźwięczące żelastwem, pełne były wystraszonego krzyku i jakby bezustannego lamentu. Od czarnych przechodniów zaślubiły się ulice, czyjś oddech, przesiąknięty jadłem, dmuchnął prosto w twarz. Trzeba więc było zdobyć się na wysiłek i przepychać się naprzód. Na Placu Żelaznej Bramy ledwie rozplątał się zator pojazdów, przecięty pałeczką policjanta, niezem węzeł gordyjski mieczem Macedończyka. A dalej pod pańskimi filarami wydierały się donośnym krzykiem wszelakie oferty i okazje.

Franek pomyślał natychmiast, że tak właśnie musi się nakrzyczeć ludzki głód, tak się rozdziera gardziel nędzy. Wstążki, koronki, guziki — coś najmniej ważnego i najbardziej niepokaźnego napełniało pożądaniem i niepokojem cały plac, wstrząsało filarami, leciało poprzez gęstwą sniegu, rozbijając się gdzieś w przestrzeni, jak rakieta.

Franek nibyto odważnie przyglądał się straganom i przemarzłym, czerwonym ręką przekupni, ale w sercu kulił się strach przed takim życiem, okutanym w szmaty, znaczone sinemi piętnami zimna. Jeszcze się mile wdzięczą, jeszcze te jabłuszka zawijają w torebkę dla paniusi. Więc choć już ta ludzka bieda była wiadoma. Franek poraz pierwszy dotknął się jej przytomnymi oczyma. Nie, nie przywarł do niej miękko i łzawo, nie popieścił jej litością, ani nie krzyknął na nią Wawarowym „programem“, ale, przymierzając ją sobie, niby metrem wymierzał — własne możliwości. Czyby właśnie tak potrafił dźwignąć pakę, jak ten połamany, niby zgłoska chaldejska, czyby tak wprzął się w wózek, jak ten mały, rudy i jakby to szarpnął swoimi siłami, jakby potoczył po bulwiastym bruku. Wszystkie prace z całego placu i z otwartych bram hali targowej wypróbował ukrytym

gestem rąk, pleców i nóg. Stojąc tu tak, niby beczynnie, spracował się już przy załadowywaniu worów, czuł sprzeciw sznurów, upór pasa na piersi. Jak orderowa, albo korporancka szarfa znaczył się ten pas, tyle tylko, że pierś nie nastawiała się, nie rozdymała w wydechu, ale klęsa i obolała kością gniotła płuca.

Pożałował wreszcie swoich nieużytych sił, wygimnastykowanej, gibkiej skóry, że tak właśnie beczynnie, nieprzydatnie... Wybierał już, komu pomóc, kto tu najbardziej już zdarty i dychawiczny. Ale dostrzegły go przekupki i, oceniwszy jego wartość, pogadywały z beczelnym humorem:

— Może pan student jabłków dla narzeczony? Może berów?

Szczerzyły zęby, jakie która miała, a jedna starucha o policzkach sfałdowanych i omszałych, jak flanela, mlasnęła grubym żartem. Ktoś go jeszcze wytworniej wziął w obronę i, niby w „beczce śmiechu“, tarzał się w tych dowcipach i w babskim rechocie. Nadrabiał jednak miną i nawet zapalił papierosa, aby nie myślały, że tak łatwo da się zgniebić. I tak go właśnie dopadł wrzask Marty.

Oderwała się od któregoś ze straganów i runęła na Franka, jak głaz, odkruszony lawiną. Przytrzymując go mocno za ramię, niby schwytanego zbira, okrzykiwała swoją zdobycz najczulszymi wyrazami. Już co ciekawsi zamknęli ich kołem i oczy ludzkie godziły w nich, jak szpilki w ciała owadów. W koszu Marty tłukła się ryba, owinięta w gazetę, a rana w gęsiej szyi czerwieniła się jeszcze świeżą krwią. To właśnie widział Franek najwyraźniej.

— Poco tyle wrzasku? — odepchnął ją.

Ale Marta trzymała go silnie.

— Do domu — czkała — do domu!

Wepchnąwszy go do taksówki, przycisnęła swoim ciałem, aby się nie mógł ruszyć. I tu dopiero Marta wystąpiła w roli prokuratora, a jednocześnie obrońcy. Nie pozwoliła delikwentowi na „ostatnie słowo“, skoro już tyle było z jego powodu zmartwienia, tyle strachu. Nawet ta pani, którą Bóg skarże, nawet ona latała po mieście, jak kot z pęcherzem, a ten jej grubas, ten gach z samochodu, zaszedł na górę i radził, żeby przez policję. Wezwali Janka, że to kolega, więc pewnie musiał wiedzieć, gdzie się Franczek ukrywa. A ten grubas właśnie, to rodzeniuteńki brat Janka. I tak się kotłowało od rana do wieczora przez te dni.

Franek miał wrażenie, że ktoś obcy i bardzo śmieszny jest bohaterem tej awantury, ale, gdy zobaczył czerwoną, pluszową ławeczkę i szafirowe szyby okna w klatce schodowej, wiedział już, że to jego własna śmieszność wlece go po schodach.

— Ja tylko po resztę rzeczy — powiedział.



ZOFJA REUTT-WITKOWSKA

## PIEŚŃ WEDLE DROGI

Powiadał zongler Annie, oblubienicy królewskiej.

— Król Wielki, Karol, królowej swej, Dezyderacie, rzecze:

„Jeśli ci miły, królowo, nie uchylaj rąk smukłych a wiotkiej kibici, jeno ugnij się pod szarym ciężarem włosianego wora z piaskiem, tym najmielszym, który jest nad rzeką, a noś go, a noś!... aby mogły na onym piasku, na płowym, ostawić ślad swój dźwięczne, pancerne moje stopy, gdy wynijdę i przechadzał się będę z parami swymi, podle kruźganka“...

A mocniejsza jest nad słabość cielesną, co rodzi przed trudem, tym grubym, lęk — Miłość Królewska.

Poszła tedy królowa, Dezyderatą zwaną, nie szczędziła rąk wiotkich, ni smukłej kibici, a ładowała piach, ten najmielszy, w czeluść szarego wora... Szlochala ku niej cichutko pilna rzeka, tocząc kolorowe, śliczne kamuszki, co buntują się kędyś na dnie... aźby nie były ostre, jeno gładkie długą pokorą swoją pod ciężkim chłodem fal. A noś! a noś! swój płowy piach, królowo!... Aż pokryły się warstwą pustynną ścieże wszystkie królewskie, podle kruźganka.

— Król Wielki, Karol, królowej swej, Dezyderacie, rzecze:

„Jeśli ci miły, królowo, nie skąp i tym razem dłoni swych zorzanych, a we wrzątku je unurzaj, a w popiele się ubrudź po łokcie — póty, aż czyste będzie naczynie wszelkie, w którym warzyła się strawa, i z którego piliśmy, jedli — ja i parowie moi“.

A mocniejsza jest nad słabość duszną, co rodzi przed trudem, tym podłym, wstręt — Miłość Królewska.

Poszła tedy królowa, Dezyderatą zwaną, między dziewczki służebne, a dłoni swych zorzanych nie szczędziła, podobnych atlasom powoju: w popiele ubrudziła się, wrzątkiem oparzyła się — aż czystem było naczynie wszelkie od tłuszczu i sadzy, aż zajaśniały misy pozłociste i rąbki puharów, kędy osiadł był oddech, winem struty, i lśniące stały się łyżki, oślizgłe jadłem skrzepłem, śliną wielu gąb... Wzdychał ku niej cichutko żartki ogień, trawiać wonną, smolną jedlinę, co bujała niegdyś pod chmurami, szumiała... aż w proch ją zwałił topór, śmigłą śpiewaczkę

— Król Wielki, Karol, królowej swej, Dezyderacie, rzecze:

„Jeśli ci miły, królowo, nie żałuj uroku ciała swego — pójdź, a stań w komnacie biesiadnej, kędy ucztował będę z parami swymi, a rozchyl płaszcz purpurowy, iżbyśmy podziwowali się krasie twej sławnej, zacni rycerze“.

A mocniejsza jest nad godność wszelką, co rodzi

przed żartem, grubym tak, podłym, i lęk, i wstręt — Miłość Królewska.

Poszła tedy królowa, Dezyderatą zwaną, do komnaty biesiadnej. — I stało się, że wpadło za nią słońce, zachodem rumiane, i spłonęło się na kształcie niewieścim, który jaśniał, jako niepokalanej światłości snop w załamach ciemnej purpury. Aleć nie lubowali się linją gędziebną ramion i biodr, jako się ich granicą Boża poświata rozpyła, i jako nasącza się zmierzch fioletowy między kwietne, chłodne kruise piersi, a we włosów ciemnozłoty gąszcz, i w ciężkie fałdy płaszczu. Rozjarzyli żółty płomień ocz, a pelzali po onym kształcie iskrzystym lepkiem mackami żądz.

— Król Wielki, Karol, królowę swą, Dezyderatę, odtrącił: jako z woli jego własnej, straszliwej, po trzykroć zhańbioną, po trzykroć rozkoronowaną była z godności królewskiej — trudem, brudem i żądzą mnogich tych, zacnych rycerzy.

Tedy odeszła w mrok pątnica szara, Dezyderatą zwaną. Nie uchylała rąk ni kibici, jeno ugięła się pod ciężarem włosianego wora, nosząc od pilnej rzeki piach, ten najmielszy, a wysypując nim wszystkie ścieżki klasztorne, zaczem polne i leśne drogi.

Tedy odeszła w mrok pątnica szara, Dezyderatą zwaną. Nie szczędziła swych dłoni — w popiele ubrudziła je, wrzątkiem oparzyła je, czyszcząc wszelkie naczynie klasztorne, z którego pożywali żebracy.

Tedy odeszła w mrok pątnica szara, Dezyderatą zwaną. Kiedy zasię słońce zachodziło, purpurowe, żzowała z ramion swych a z biodr ciężki płaszcz pokutny i smagała świetlisty kształt surowcem twardym, aż stał się wychudły i przezroczy, widmu czyścicowemu podobny.

Bywało, suną — za murem — strojne zastępy turniejowych rycerzy, zagra szmaragdem i szafirem kita pawia zwycięskiego szlemu. Bywało, sypią się po śniegu barwistym grzechotem *lupercalia* świąt radosnych... dzwoni w niebo strzałą wesela ostry krzyk: Noel! Noel!

Bywało, zerwą się jeno z za okapu napoły zwierzęcej paszczęki pieca, czarnej, zimnej, nietoperze, tłuć fioletowy dzwon ciszy skórzanem, cienistem skrzydłem. Kawki ukończyły gadatliwe modlitwy, kulą się, szczęśne, w puchu gniazd; zachichotały czartu sowy, suną ku Łysinie gór pobliskich — na sabat — bezgłośnym, drapieźnym lotem, kędy już nietoperze kręgiem zaklętym szaleją.

Nikt, nikt nie pragnie z weselników tych ziemskich, ni piekielnych — Dezyderaty onej.

Aż łączno domyślicie się, że umiłowac się mógł jeno, a Koroną Troistą — przadki, pątnicy i kwiatu — zwięńczyć ją na wieki: Sam Wielki Bóg.



M. ZNATOWICZ-SZCZEPAŃSKA

## N A P R O G U

*(od specjalnej korespondentki z Chicago).*

Cichy, pogodny ranek jesienny, cały we mgłach i blado-złotem słońcu. Statek dopływa do portu nowojorskiego. Robi się coraz jaśniej, w miarę, jak dzień wzrasta. I oto nagle, wśród rozrzedzonych mgieł, w dali, w dali, zarysy niby gór, niby skał, strzelających ku niebu... Drapacze chmur w N. Jorku! Im bliżej jesteśmy, tem wyraźniej występują kontury brył olbrzymich, spiętrzonych kunsztownie w kształt potężny, geometryczny, w budowlę o linjach łamanych, tarasami spadających po bokach środkowego potężnego bloku, kilkudziesięciu piętrowe, wyszczuplone tu i owdzie przez wieżycę o prawie gotyckim rysunku.

Zdaleka i zwłaszcza wśród mgły olbrzymy te nabierają smukłości i — o ile stoją pojedynczo — przypominają minarety lub wieże; w grupach robią wrażenie zamczysk i grodów jakichś przedhistorycznych gigantów. Na bliższym planie ciemno-złotą miedzią połyskuje posąg Wolności, w którego małym palcu pomieścić się może człowiek.

Nowa architektura! Oto pierwszy gest powitalny Ameryki! Najsilniejsze bodaj z wrażeń wstępnych. Wywracają się i zmieniają do gruntu pojęcia europejczyka o drapaczach nieba, zaczerpnięte z opowiadań i banalnych odtworzeń na pocztówkach. Zapewne — zwykłe kamienice dochodowe, przeznaczone na biura, czy mieszkania, są to pudła olbrzymich rozmiarów, podziurawione setkami niewielkich okien, często wcale nietynkowane, to znów pomalowane na kolor mdfioróżowy lub sino-popielaty, dość ponure. Chodzi się po obstawionych niemi ulicach N. Jorku, jak po dnie tunelu. Ale pojedyncze sylwety, lub grupy „sky scrapers’ów“, pomyślanych z dbałością o ich styl i wygląd, umiejętnie zestawione, widziane z perspektywy olbrzymiego bulwaru, na tle zaróżowionych zachodem obłoków, lub w ciemnej otchłani nocnego nieba, są przepyszne!

Trudno wprost opisać potężne wrażenie, jakie się ma nocą, gdy się je widzi w czarodziejskich szmucharach i snopach światła, z ukrycia rozjaśnione potężnymi reflektorami, jedne oślepiająco jasne, inne umyślnie przyémione, kolorowe, iskrzące się, prawie przezroczyste. Niektóre dźwigają na najwyższym — powiedzmy, 60-em piętrze — osobny pałac w stylu renesansowym, z koronkowym zakończeniem dachu — samą dla siebie, pod obłoki wyniesioną rezydencję. Inne godzą w niebo koleczastą, bogato strojoną wieżycą, zupełnie gotycką. Jest to operowanie bryłami na olbrzymiość i odległość. Styl — jedynie odpowiedni dla Ameryki, gdzie wszystko, jest na wielką skalę. Jeziora — jak morza, stały — większe od państw Europy, miasta — jak małe księstwa; ulice, ciągnące się

po mil kilkadziesiąt, hotele, zawierając 3.000 pokoi i dziesiątki salonów; samochody, liczone w samym tylko Chicago na miliony sztuk; największe w świecie kina, największe w świecie rzeźnie; potworne ilością straconych milionów dolarów krachy giełdowe, rekordy we wszelkich gałęziach techniki, atletyki, sportu, snobizmu...

Doprawdy, pierwsze zewnętrzne wrażenia z Ameryki są oszołamiające. Człowiek się czuje, jak na tym ostatnim skrucie pod wodospadem Niagary — porwany w jakiś wir niesamowity, ogłuszony, przytłoczony do utraty tchu, zagubiony w huczącej naokół niego nowej rzeczywistości, przymuszony do pędu i ruchu natychmiastowego, jeśli nie chce zginąć marnie w tym odmęcie. Musi zatem z punktu „brać się na pazury“. Dał nura, załalo go, wychynał i oto rozgląda się już przytomnie, orientuje się z pierwszego w swych aspiracjach i możliwościach na nowym gruncie, tworzy sądy pośpieszne, tymczasowe, obie-



*Jeden z najpiękniejszych drapaczy nieba — gmach Towarzystwa Ubezpieczeń w New-Yorku.*

cując sobie korygować je w miarę nabywanego doświadczenia. Zapłacił już pierwsze „frycowe“ w kilku dziedzinach życia praktycznego i teraz, uzbrojony w parę przeżyć i szczupły zasób słów obcego języka, puszcza się odważnie na fale nowego bytowania.

Widzę, że pierwszy mój „list z Ameryki“ będzie już do końca pianą na fali, przelotnym rzutem oka niedoświadczonego podróżnika wgląd puszczy, odbłaskiem świeżych, zwodniczych często, wrażeń, nieobowiązującą i chaotyczną próbą ujęcia splotu zjawisk nowego, olbrzymiego życia.

Dobrze! Więc powiem, że, mimo niesłychanych kontrastów w każdej dziedzinie — obraz tego życia wydaje się europejczykowi na pierwszy rzut oka nieskomplikowany. Serja, moda, standard — oto hasła naczelne dla amerykańskiej codzienności. Zależnie od dochodów, które normują tylko stopień wygody i

zbytku — tysiące ludzi mieszkają, ubierają się, jadają, podróżują, bawią się, ba! — myślą jednakowo.

Obok, — dosłownie obok cudownego hotelu — zobaczysz na pierwszorzędnej ulicy Chicago najokropniejszy śmietnik, otoczony zardzewiałym drutem kolczastym, pełen przeróżnych odpadków i podartych papierów. Z wykwintnej dzielnicy bogaczy wjedziesz bezpośrednio w nędzne państwo czarnych: policjant — stróż porządku i dyktator ulicy — okaże się bandytą lub przyjacielem „butlegerów“; robotnik przyjedzie do fabryki własnym autem; senatorowie państwa prohibicji alkoholowej upiją się na oficjalnym obiedzie wódką, przemycaną w srebrnych manierkach; bogata pani w zbytkownie urządzonym domu robi codziennie własnymi rękami najgrubszą robotę, bo służącej za żadne pieniądze nie dostanie; zato w salach restauracyjnych i korytarzach hotelowych roi się od służby, często zupełnie bezczynnej. To są kontrasty.

Ale spróbuj kupić najmniejszy drobiazg podług własnego gustu — nie znajdziesz. Nie modny. Zobacz ulice dalsze — czy to w Buffalo, czy w N. Jorku lub Chicago — z setkami takich samych, bardzo brzydkich domków, wejdź do mieszkania, do szkoły, do kinoteatru, do restauracji — wszędzie jednostajność rozpaczliwa, ogłupiająca! To też dziedziny handlu, w których nie można produkować serjami, zostawione są obcym, np. rolnictwo, jedwabnictwo, przedmioty prawdziwego artyzmu...

Moda przychodzi z Londynu i Paryża — cudownie ubrane kobiety widziałam w N. Jorku, Chicago pod względem strojów jest już bardziej amerykańskie... Dobrego jedzenia trzeba szukać w restauracjach włoskich, francuskich, bo Amerykanie mają przepyszne produkty, ale robią z nich bardzo niesmaczne potrawy, zabijające apetyt europejski swą jednostajnością. I tak w każdej dziedzinie.

Chcąc jeszcze krócej ująć potężny obraz życia amerykańskiego, można powiedzieć: w zakresie techniki, wygody życia codziennego, ułatwień kredytowych, społecznych, humanitarnych, gdzieindziej zupełnie w tym stopniu nieznanych — zrobiono wszystko; w zakresie potrzeb duchowych, artystycznych, umysłowych ruch prawdziwy zaczął się po wojnie i będzie się rozwijał coraz potężniej, bowiem społeczeństwo amerykańskie coraz jaśniej uświadamia sobie swoje w tym zakresie braki i potrzeby. Dziecko amerykańskie rozumie, co to znaczy być dobrym obywatelem swego kraju, uczy się od kolebki pracy i oszczędności, ale musi jeszcze nabyć kultury towarzyskiej i oprócz gry w piłkę pokochać wiersz piękny, obraz, lub muzykę. W atmosferze wszechpotężnego byznesu dożyć musi do głosu tęsknota duszy człowieka...

A kobieta? — spytacie. — Gdzie miejsce kobiety w tym obrazie?



Teatr — drapacz nieba w New - Yorku.

Zwyczajem niewiescim, rzecz najważniejsza będzie na samym końcu.

Kobieta w Ameryce zajmuje miejsce najpierwsze! Nie brak jej przy żadnym warsztacie pracy zarobkowej i społecznej, ale też i używa przyjemności i swobody życia pełną piersią. Zrzeszone w klubach, liczących po kilkanaście tysięcy członkiń, posiadających własne wspaniałe gmachy, amerykanki korzystają z ułatwień, rozrywek, pomocy, o jakich my w Europie nie mamy właściwego pojęcia.

W takim „Women clubie“ wszystko jest na usługi członkini: sale jadalne, balowe, gimnastyczne, pływalnie, ujeżdżalnie, garaże, biblioteki, „salons de beauté“, lecznice. Dla kobiety wyłącznie istnieć się zdają cudowne bulwary i aleje parkowe, aby miała gdzie zażywać konia i prowadzić samochód. Dla niej — przepaściste magazyny, w których znajdzie, czego dusza zapagnie, i gdzie uwzględnią każdy jej kaprys, każdą zachciankę.

Mężczyzna ze swą wytężoną pracą, pogonią za dolarem i gorączką rekordu jest jakby za kulisami olbrzymiej sceny dnia; kobieta zapełnia ją i gra na niej rolę główną. Życie pokaże, jakim będzie jej udział i jaką inicjatywa w rodzącej się nowej Ameryce.

Ta nowa Ameryka przemówiła już do świata potężnym kształtem swej architektury, ale cicha jest jeszcze i nieporadna, gdy chodzi o wyrażenie tęsknot najgłębszych duszy — dziedzin, w których się kryją pierwiastki, a zarazem i owoce kultury ducha człowieka.

## Z ŻYCIA EKRANU

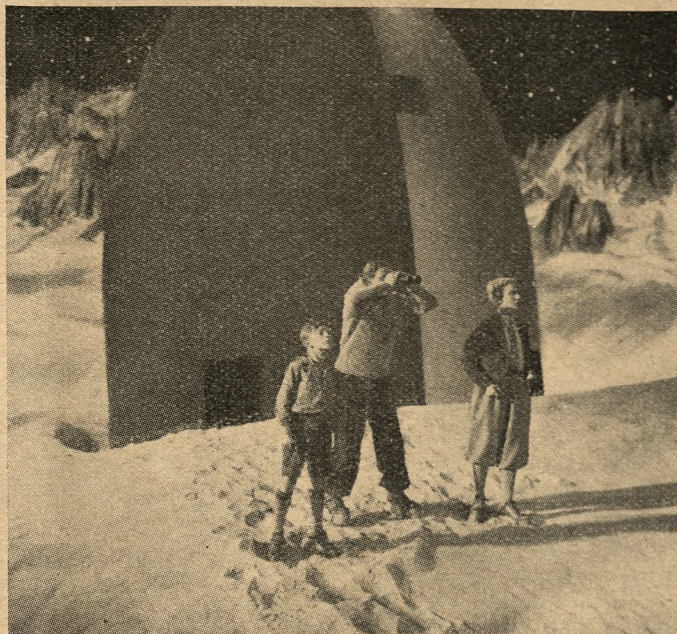
(Pierwszy występ czeski. — Ekranowy Jules Verne).

Przed kilku laty, kiedy kinematografja polska przypominała kulawego, który chce koniecznie brać udział w zawodach szybko biegaczy — któryś z literatów, piszących o filmie, wyraził się, że nie rozumie ambicji posiadania własnego przemysłu kinematograficznego. „Są kraje, ot, na przykład Czechosłowacja“ — mówił — „które nie produkują filmów, a mimo to zajmują nieostatnie miejsce i w przemyśle i w sztuce“.

Przypomniało mi się to teraz, z racji pierwszego czeskiego filmu o europejskim rozgłosie, który wyświetlano niedawno także w Warszawie („Erotikon“ reżysera Gustawa Machaty).

Zdaje mi się, że posiadanie własnego przemysłu kinematograficznego już dziś nie jest kwestją ambicji, lecz prosto — gospodarczej potrzeby. (Wiemy, jakie miejsce zajmuje ten przemysł w Ameryce, a i w życiu ekonomicznym niektórych państw europejskich odgrywa rolę nie małą). Jest to przemysł, niezwiązany z żadnym terenem, ze źródłem, skąd czerpie surowiec, jak np. kopalnie węgla, soli, nafty i t. p. — może zatem powstać wszędzie i, przy sprzyjających warunkach, pomyślnie się rozwijać.

Sprzyjającymi warunkami nazywam — prócz poparcia ze strony czynników rządowych i społecznych — posiadanie talentów filmowych. Bez tego kinematografja musi tworzyć się powoli, ospale, bez polotu; filmy mogą być wprowadzić coraz lepsze, twórcy ich nabierają doświadczenia, uczą się „wyraźniać“, ale, dopóki nie zjawi się prawdziwy talent, będzie to



Scena z filmu „Kobieta na księżycu“.

tylko lepsza lub gorsza *robota*. Dopiero talent tworzy *sztukę*. Czesi mieli to szczęście, że, choć zaczęli swą produkcję znacznie później od nas, już mogą się pochwalić posiadaniem reżyserkiego talentu.

Film Gustawa Machaty (wg. własnego scenarjusza) nie odznacza się żadnymi cechami narodowymi; natomiast, łącząc zdobycze różnych kierunków filmowych, dodaje do nich jakąś odrębną nutę, coś, co pozostaje już tylko w związku z twórcą, z jego artystyczną indywidualnością.

Tak więc film czeski wchodzi na światowy rynek nie dzięki swym odrębnościom narodowym (ani w temacie, ani w charakterystyce bohaterów, ani w krajobrazie, niema nic specjalnie czeskiego), lecz — dzięki talentowi realizatora. Powiedziałabym nawet więcej — że, zarówno temat, jak jego ujęcie, są zaprzeczeniem tego wszystkiego, co przyzwyczailiśmy się uważać za charakterystyczne dla Czechów i czeskiego życia (solidność, brak wyobraźni, utylitaryzm, nieuleganie namiętnościom, flegmatyczny temperament i t. p.).

„Erotikon“ odsłania i stara się ująć wizualnie to, nad czem zazwyczaj reżyserzy filmowi zrećnie się prześlizgują: zmysłowość, wyzwoloną z draperyj jakichkolwiek innych pobocznych uczuć. Jeżeli trzeba być nielada mistrzem, ażeby oddać skondensowaną uczuciowość (klasycznym przykładem może być „Siódme niebo“ reż. Borzage'a) — to tembardziej pewnej ręki wymaga zadanie, podjęte przez czeskiego reżysera, przy którym każdy gest, każde nastawienie aparatu grozi poślizgnięciem się i upadkiem z urwistej ścieżki sztuki na ubitą płaszczyznę ordynarności.

Machaty utrzymuje się na krawędzi z niezwykłą zrećnością i odsłania stany psychiczno-fizjologiczne w sposób dyskretny, subtelny i wizualnie świeży. Takiej sceny miłosnej, jak w „Erotikonie“ (między Uwodzicielem, a córką dróżnika), nie widzieliśmy jeszcze na ekranie. Rozbijając wybuch namiętności na szereg krótkich epizodów (ruchy rąk, odchylenie głowy, wirujące ściany), reżyser daje syntetyczny skrót ekstazy miłosnej.

W taki sam sposób, ujmujący samą istotę rzeczy, a jednak dyskretny i daleki od banalności, traktuje Machaty scenę narodzin dziecka (u nas, niestety, wyciętą przez cenzurę, choć nie było tam cienia obrazu „moralności publicznej“) — lub — nastrój depresji po wyjeździe Uwodziciela (kropla deszczu, spływająca po szybie). W takich skrótach przejawia się praw-

dziwy talent Machaty'ego, umiejętność optycznego ujmowania „tego, co najważniejsze“, bez omówień i przygotowań.

Trzeba jednak przyznać, że w „Erotikonie“ miał też wybitnych współpracowników w osobie Ity Riny, aktorki, pełnej prostoty, inteligentnej, o bardzo oryginalnej urodzie, oraz — niezwykłego operatora. Fotografja, operująca z maestrją czarnobiałymi efektami, czasem robi wrażenie rysunków kredką, czasem — akwafort, tworząc z każdego obrazu zamkniętą kompozycję. Bogactwo tych wrażeń zaciera drobne niedociągnięcia scenarjusza i montażu i sprawia, że teraz zaczniemy z zainteresowaniem śledzić twórczość filmowców czeskich, z Machatym na czele, w przekonaniu, że stać ich na to, żeby do europejskiego dorobku w dziedzinie kina wnieść nowe walory.

To ciągle poszukiwanie „czegoś nowego“ w żadnej innej sztuce nie jest tak pożądane, a nawet konieczne, jak właśnie w kinematografji. Dzięki szybkości, z jaką każdy film — nawet najbardziej rewelacyjny — rozpowszechnia się i znajduje dostęp do najszerszych mas na całej kuli ziemskiej — dzięki temu, że każdy kierunek znajduje natychmiast naśladowców (zwłaszcza, jeżeli okaże się „kasowy“, bo względy handlowe grają tu też rolę niemałą) — każda zdobycz filmu niezmiernie szybko się banalizuje, a nawet — standaryzuje. To, co jeszcze wczoraj było nowe i świeże (temat, technika, aktor nawet) — dziś jest stare i zużyte, i znów trzeba szukać czegoś, „czego jeszcze nie było“, że użyję ulubionego zwrotu naszych reklamistów.

Do dostarczenia publiczności nowych wrażeń, przy pomocy nowych tematów, dąży wytrwale Fryderyk Lang (twórca „Nibelungów“ i „Metropolis“), wierząc w to, że nowa treść stwarza nową formę. Wiara ta w jego filmach — choć nie całkowicie — w pewnej mierze jednak się realizuje. Film „Metropolis“ np., pomimo naiwności, z jaką starał się rozwiązać skomplikowany problem społeczny, dał jednak coś „nowego“ — pokazał bodaj po raz pierwszy na ekranie życie maszyn, pełniąc je żywą, pulsującą krwią.

Prace prof. Obertha nad budową rakiety, która, będąc wystrzeloną w Europie, po kilku godzinach mogłaby spaść w ściśle określonym miejscu ładu amerykańskiego — natchnęły Langa do stworzenia filmu, poświęconego zagadnieniu komunikacji międzyplanetarnej („Kobieta na księżycu“). Tego, oczywiście „jeszcze nie było“. Mieliśmy już filmy dokumentalne, filmowe pamiętniki podróżników i myśliwych, ale nigdy jeszcze nie mieliśmy filmu naukowo-fantastycznego, w stylu Jules Verne'a.

„Kobieta na księżycu“ zrealizowana jest z prawdziwie niemiecką sumiennością, a nawet pedanterją (przy budowie modelu rakiety współpracował prof. Oberth, przy tworzeniu pejzażów księżycowych posługiwano się obserwacjami astronomów) — zato odznacza się brakiem rytmu i dłużyznami akcji.

A jednak film ten dostarcza nietylko dużo nowych wrażeń, ale nawet szczerze rozrusza. Film w założeniu swym rozrywkowy (nie naukowy, ani — dokumentalny) po raz pierwszy ilustruje bohaterstwo ludzi, poświęcających się dla nauki, pracujących często w najgorszych warunkach przez całe życie dla jedynego celu — przebicia choćby najmniejszego otworu w niewidzialnym, a tak nieprzeniknionym murze, który oddziela mieszkańców ziemi od wszechświata i jego tajemnic.

Jakżeż bohaterstwo tych ludzi jest nam obce, dalekie i niezrozumiałe, wobec popularności np. bohaterów wojennych! To też źródłem wzruszenia, jakie nas ogarnia przy scenie startu na księżyc (najlepsze fragmenty filmu), jest nietylko sztuka kinowa, lecz więcej jeszcze — przecucie, że ta dzisiejsza fantazja stanie się kiedyś rzeczywistością. Film ten jest dla nas czemś więcej, niż szeregiem obrazków na celuloidowej taśmie: jest symboliczną rakietą, wystrzeloną w — Przyszłość! Stef. H.



## Z TEATRÓW

TEATR ATENEUM.

„Podhale tańczy“ — widowisko regionalne w 5 odsłonach z muzyką, śpiewami i tańcami — Heleny Roj-Rytkardowej i Mieczysława Rytkarda. Muzyka w opracowaniu St. Mierczyńskiego, inscenizacja J. Strachockiego. Dekoracje Wandy Jewniewiczowej.

Że widowisko regionalne może dać słuchaczowi i widzowi całkowite zadowolenie estetyczne, jako swoisty wyraz ducha rasy, tego dowodem niezapomniane „Wesele na Kurpiach“. Dowiodło ono, że nawet teatralnie zblazowana publiczność ulega czarowi folkloru, jeżeli ten folklor podany jest w formie prymitywnego ziarna, które nie zdążyło jeszcze obrosnąć plewą literatury.

„Wesele na Kurpiach“ brało właśnie tą naiwnością, prostotą, kto wie, czy nie nawet tą nieporadnością w ujęciu tematu, który przemawiał do widza bez pośredników, bez literackiego faktorstwa, po gospodarsku, twarzą w twarz. Tą drogą wytworzyło się to idealne współzycie sceny z widownią, które jest urzeczywistnieniem najśmielszych marzeń każdego teatru.

Ale bo też z „Wesela na Kurpiach“ wyliminowano wszystko to, co można nazwać aktorstwem; wykonawcy grali tak, jakby się urodzili w Puszczy i od urodzenia gadali „po kurpsiówsku“. Wszystko tam było autentyczne, aż do sakramentalnych, wiekami uświęconych gestów.

Tematem widowiska „Podhale tańczy“ są również zaloty i wesele, ale stosunek autorów do tematu jest już zgoła inny. Pewna, nazbyt widoczna, niejako siłą w ramy obrazu wtłoczona dbałość o konstrukcję, pretensja do literatury tam, gdzie ta literatura nie a nie ma do roboty, niepotrzebna troska o kulturę tam, gdzie życie powinno być podane in crudo, — zemściły się na całości, która ani na chwilę nie osiąga takiego np. momentu entuzjazmu, jaki w widzach, nawet cudzoziemcach, budziła scena toczenia bochna przez pannę młodą w „Weselu“.

To, co tam miało charakter obrzędowy, tu znalazło, skurczyło się do rozmiarów notatki, — został folklor, ale ulotniła się magja zwyczajów ludowych, korzeniami swymi tkwiąca w praaryjskich chyba jeszcze pokładach.

Niewątpliwa autentyczność śpiewów, tańców, gadek, przypowiastek, a przedewszystkiem muzyki, którą niepotrzebnie i niesmacznie podkreślała hałaśliwa klaka, nie uratowała sytuacji. Za dużo było „cepra“ w tem Podhalu, tańczącym, jak na w randzie w Kuźnicach, za dużo kostjumu, za mało żywego człowieka.

Dodajmy, że zespół teatru „Ateneum“, zmuszony do ustawicznego przerzucania się do antypodów, z Berlina do New Yorku, stamtąd do Paryża, z Paryża na Podhale — naprawdę nie może złapać tchu w tym ustawicznym treningu i trochę się potyka na nierównościach gwary podhalskiej. I tak podziwiać należy „raubsziców“ za to, co wyczyniali w „zbójnickim“ tańcu.

Grą naturalną, spokojną i powściągliwą wyróżniał się p. Bogusławski; p. Mysłakowska w roli Jantosi miała dużo świeżości i prostoty. Reszta aktorów robiła, na co każdego było stać, z umiarkowanym przekonaniem o rezultatach swych zabiegów.

Dekoracje p. Jewniewiczowej nie bez powodzenia usiłowały rozwiązać konflikt płytkiej scenki.

Wybór sztuki na okres świąteczny i karnawałowy uważać należy za bardzo trafny. Zdaje się, że teatr „Ateneum“ wchodzi nareszcie na właściwą drogę, dając widzom z warstw fizycznie pracujących, możność szerszego oddechu, otwierając im szeroko wrota pogody, beztroski i swojskiego, nieco rubasznego humoru.

Przydałaby się taka etnograficzna rewja najbardziej typowych momentów w różnych dzielnicach kraju: jarmark w Łowiczu, odpust w Sądeckiem, dożynki na Podlasiu i t. d. Trzeba pracownika maszyny, kotła i warsztatu — uczyć Polski od pługa, kosy i topora. Zyskają na tem obie strony. S. P. O.

## Ś. P. MARTA Z NOWICKICH NORKOWSKA

Urodzona w r. 1872 na Pomorzu, nauki początkowe pobierała w Kościerzynie, w miejscowym klasztorze, następnie kształciła się w Paryżu w Hôtel Lambert ks. Czartoryskiej. Po ukończeniu nauk poświęciła się zawodowi nauczycielskiemu. Umysł jej żywy i praktyczny, duże zdolności organizacyjne popchnęły ją na zupełnie wtedy nową drogę kształcenia panien ze sfer inteligentnych w gospodarstwie domowym.

Po wydaniu książki p. t. „Najnowsza Kuchnia” — książki, do dnia dzisiejszego cieszącej się zasłużonym powodzeniem, ś. p. M. Norkowska w 1905 r. otwiera w Warszawie Wyższą Szkołę Gospodarstwa Domego, połączoną z internatem, dla panien przyjezdnych — głównie ze sfer ziemiańskich. Internat ten po kilku latach istnienia został zamknięty dla braku dostatecznej frekwencji.

Była to pierwsza szkoła tego rodzaju i jedyna pod zaborem rosyjskim. Przed otwarciem jej ś. p. Norkowska zwiedziła cały szereg podobnych szkół zagranicą, aby móc zastosować najlepsze i najnowsze sposoby w swoim zakładzie. Szkoła ta dała kilkaset kobiet, dobrze przygotowanych do prowadzenia własnego domu, i spory poczet takich, które nabyte wiadomości praktyczne stosują, jako dyrektorki hoteli, kierowniczkę pensjonatów, właścicielki restauracji i t. p.

Szkoła ta, po wojnie światowej, jest prowadzona nadal, jako zakład dla przychodnich uczennic i ś. p. M. Norkowska kierowała nią osobiście do ostatniego dnia swego życia.

Oprócz „Najnowszej Kuchni” napisała szereg innych książek, jako to: „Piekarnia i Cukiernia”, „Śpiżarnia i Zapasy Zimowe”, „Gospodarstwo Domego” i „Przetwory owocowe bez cukru”.

Praca Jej była wysoce ceniona, czego dowodem są liczne medale złote i srebrne, listy pochwalne i dyplomy uznania, otrzymane na wystawach w Warszawie i na prowincji.

Ze ś. p. Martą Norkowską schodzi do grobu jedna z najdzielniejszych pionierek gospodarczego wykształcenia kobiet w Polsce.

Cześć Jej pamięci.

E. K.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### CZY WOLNO UPRAWIAĆ LICHWĘ ŻYCIEM LUDZKIEM?

Największą przeszkodę w szerokim stosowaniu leczenia radem stanowi obecnie wysoka jego cena. Wiemy, że samej wynalazczyni radu, Curie-Skłodowskiej, ofiarowała Ameryka dwukrotnie gram radu, jako najcenniejszy dar.

Kosztowność radu tłumaczono dotychczas tem, że znajduje się on w niezmiernie małych ilościach w niektórych kopalniach metali; tymczasem obecnie wyjaśniło się, że w Kongo belgijskim, w Afryce, jest tyle radu, iż cena jego mogłaby spaść do 1000 dolarów za gram, z 50 tysięcy, które kosztuje obecnie. Stał temu na przeszkodzie lichwiarski trust radowy, który w tym roku daje przeszło miliard czystego dochodu, więcej, niż tysiąc procent od produkcji!

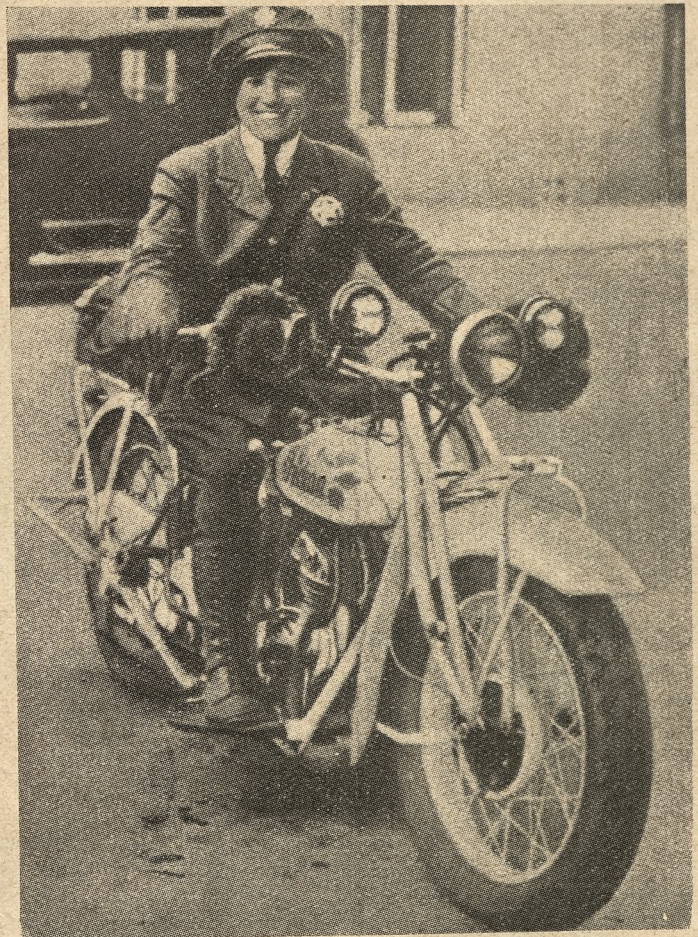
Wynalazczyni radu wystąpiła z oburzeniem przeciwko tej lichwie, żerującej na zdrowiu i życiu ludzkim. Sprawą tą powinny zainteresować się rządy i komisja zdrowia w Lidze Narodów, a także wystąpić muszą wszystkie zreszenia kobiece. Należy poprzeć jaknajenergiczniej naszą wielką rodaczkę, której opinia powinna być w tej sprawie najbardziej miarodajna.

P. Curie-Skłodowska jest sama przykładem najwyższej bezinteresowności, jako uczona. Nie wystąpiła o prawo własności za wynalezienie radu, choć prawo to przyniosłoby jej zawrotne sumy. Obecnie, z inicjatywy konfederacji pracowników umysłowych i Instytutu współpracy umysłowej, wniesiony ma być do parlamentu francuskiego projekt przyznania wynalazcom prawa, zwanego „prawem własności naukowej”. Skłodowska była jednym z najwybitniejszych członków komisji, opracowującej ten projekt, i jednym z najzaciętszych jego przeciwników. Z chwilą, gdy nauka straciłaby swą bezinteresowność, twierdzi p. Curie, z chwilą, gdy wynalazca liczyłby na zarabianie poważnych sum, które za wynalazek naukowy ofiarować może przemysł, nauka przestałaby istnieć.

Tymczasem jednak przemysł, nie placąc nic uczonym za wynalazki, ciągnie lichwiarski procent z preparatu, ratującego życie ludzkie. Niema słów dosyć silnych na potępienie takiej lichwy i dość energicznych środków na jej zwalczanie.

### POLICJANTKI AMERYKAŃSKIE.

Służba policyjna kobieca w Ameryce spełnia doskonale swe zadanie, a dzielne policjantki używają wszystkich nowych zdobyczy techniki w swym zawodzie.



Ajentka, członkini żeńskiej brygady policyjnej, wyjeżdżająca na inspekcję.

WALNE ZEBRANIE KOŁA PRACY KOBIEC.

W lokalu własnym, przy ul. Kredytowej 16, w obecności prawomocnej ilości członkiń, pod przewodnictwem pp. Klawerowej, Bratkowskiej i Zaleskiej, odbyło się doroczne Walne Zebranie zasłużonego w dziejach ruchu kobiecego, Koła Pracy Kobiet. Z wniosków Zarządu uchwalono: domagać się od władz szkolnych przyznania nauki bezpłatnej dla zdolnych wychowanków schronisk; zwrócić osobliwą uwagę na popieranie jedynie wyrobów krajowych. Przyjęto do wiadomości i do rozpatrzenia wniosek p. Neronowiczowej-Szpilowskiej o zachęcaniu dziewcząt do zawodów praktycznych, a osobliwie do umiejętności pielęgnowania niemowląt.

Po wnioskach wolnych, imieniem Stołecznego Komitetu Obywatelskiego, wiceprezes Komitetu, p. Bronisław Barylski dziękował Kołu za wysoce wydajną jego współpracę z Komitetem.

KOBIETY MUSZĄ WEJŚĆ DO KOMITETÓW BUDOWY MIESZKAŃ.

Dla zaradzenia klęsce mieszkaniowej, wysunięto w ostatnich czasach projekt czerpania kapitałów na budowę domów z funduszy ubezpieczeń pracowników umysłowych. Pomysł jest doskonały. Kapitały te są duże, wzrastają i wzrastać będą bardzo poważnie; lokata jest pewna. bo domu dzisiejszego „nie spali ogień, nie zabierze woda“: procent będzie, bo ludzie mieszkać muszą. Chodzi o to, aby pomysł był zastosowany w szerokiej ramach. Projektuje się utworzenie specjalnej komisji budowlanej, złożonej z przedstawicieli zakładów ubezpieczeń, ministerstwa skarbu, robót publicznych, spraw wewnętrznych, pracy i opieki społecznej, oraz przemysłu i handlu.

Otóż, należy rozwinąć energiczną akcję, aby w tych komisjach znalazło się miejsce dla kobiet. Delegować je powinny

zarówno ministerstwa, jak i samorzady miejskie, ponieważ podział pierwszych 145 milj. zł. obejmuje, prócz stolicy, wszystkie większe miasta prowincjonalne. Sprawą tą powinny się zająć radne i posłanki.

Mieszkania w nowo budowanych domach przeznaczone będą dla pracowników, zarówno fizycznych, jak i umysłowych.

DLA DZIECI NASZEJ, POLSKIEJ POLICJI PAŃSTWOWEJ.

W czasie Świąt Bożego Narodzenia, ruchliwa „Rodzina Policyjna“ urządziła we wszystkich miejscowościach kraju szereg „Gwiazdek“ dla dzieci policjantów.

W Warszawie odbyły się trzy uroczystości gwiazdkowe. W przedszkolu dzieci odegrały szereg scen z jasełek i wręczyły wykonane własnoręcznie upominki, państwu komendantostwu Maleszewskim, p. Komisarzowi Rządu, komendantowi policji stołecznej i p. przewodniczącej „Rodziny policyjnej“ warszawskiej, poczem same otrzymały zabawki i słodycze.

Drugą „Gwiazdkę“ urządzono dla dzieci sierot po poległych policjantach. Wielu już bardzo tych dzielnych ludzi padło ofiarą obowiązku, gdyż na uroczystości zgromadziło się 400 sierot. Po serdecznym przemówieniu p. komendantowej Maleszewskiej, dzieci odegrały szopkę, poczem otrzymały podarki. Trzecia „Gwiazdka“ przeznaczona została dla dzieci policjantów powiatu warszawskiego, w której wzięło udział 550 malców, obdarowanych zabawkami, oraz ubraniami i buciakami.

Poważna zasługa w dzielnej pracy, rozwijanej przez „Rodzinę Policyjną“, przypada jej niezamordowanym organizatorkom i kierowniczkom: pani komendantowej Maleszewskiej, podinspektorowej Schuchowej, inspektorowej Tomanowskiej, nadkomisarzowej Sobocinie i innym paniom. Wydatnej pomocy materialnej w postaci zabawek użyła p. Dewey'owa, żona amerykańskiego doradcy finansowego przy rządzie polskim.



Gwiazdka w „Rodzinie Policyjnej“.

## W S T Y D!...

Podobno istnieje siedem dusz kobiety. Z pewnością zato istnieje siedemset siedemdziesiąt siedem jej odmian psycho-fizycznych, każda troszeczkę różna od poprzedniej. I dlatego wszystkie ryczałtem jest niesłychanie trudno scharakteryzować jakimś wszechobejmującym, jednym zdaniem.

Jeżeli objęłoby część — zawsze jakieś jednostki, jak pojedyncze fałdy modnej dziś sukni o fantastycznych ogonach i załomach, wymykałyby się całości i chodziły własnymi drogami. Jeżeli uwagę skierować raczej na te wymykające się, lekkomyślne i figlarne osobniaczki — niewątpliwie skrzywdziłoby się całość — ową solidną i w klamry obowiązku ujętą całość. Mowy niema, żeby kobiety można było skwalifikować jakoś jednolicie. Przykładowa żona będzie się różniła od płoczej uwodzicielki; zalotna panna z mурowanymi zasadami — od pełnej prudencji świętoszki o zgoła innych skłonnościach utajonych. Jeżeliby wziąć amerykański dom czterdziestopiętrowy, to na każdym piętrze i w każdym z jego mieszkań kobiety byłyby różne nie tylko klasowo, ale i psychicznie, i obyczajowo, i usposobieniem. Klasyfikacją najklasyczniejszą pozostaje jeszcze wciąż okrutny podział Weiningerowski: kobiety-matki i kobiety... kurtyzany.

Oczywiście, w literze swojej taki podział — to nonsens. Mamy całe szeregi niematek, matkujących właśnie ludzkości na tysiąc najbardziej poświęconych sposobów. Mamy tak samo dużo, niestety, kobiet, obarczonych (żydzi dawniej mówili: błogosławionych) — dziećmi, a które jaknajmniej do swego macierzyństwa się nadają. Ale też sądzę, że twierdzenie to należy przyjąć właśnie podług wewnętrznej skłonności, nie podług dosłownego zbiegu warunków zewnętrznych. W dużej jednak większości, ta lekkomyślna część kobiecej rzeszy jakgdyby zasłaniała skrzydełkami swojej płocności wszystkie zasługi rzeszy macierzyńskiej i wydajnej społecznie. Czy może ta płocność należy do gatunku, jak skrzydła — do motyla? „La donna e mobile!...” stało się nie tylko popularną piosenką, ale niejako symbolem poglądu na kobietę.

Poglądy takie nieraz stanowią kość obraży w sporach społecznych. Znam osobiście za dobrze zasługi, wytrwanie i olbrzymią odpowiedzialność pracy kobiecej — tej części odpowiedzialnej właśnie — aby mieć co do tego złudzenia. Zawsze gorąco podnosiłam wartość i ogrom ich współdziałania w budowie życia państwowego i społecznego. Uważałam, że tamte — są kolosalną mniejszością. I wierzyłam, że wojna i powojenna, zarobkowa samodzielność kobiet naprawdę stworzyła inny jej gatunek — zupełnie już wyzwolony z tego typu, który się nazywa nie kobieta, tylko raczej: kobietka. Kto woli — kobieciątka, w odróżnieniu od zmaskulinizowanego kobietona.

Poraz pierwszy naprawdę zachwiałam się w swojej opinii teraz. Od jesieni. Zachwiałam się wcale poważnie, jakkolwiek podstawy tej mojej nieufności są tak błahe i lekkomyślne w swej pozornej nieważności, że może to się wydać nieuzasadnionem. A jednak jest zupełnie ugruntowane; bo im dla mniejszej blahostki sprzeniewierza się ktoś rzeczom ważkim; tem bardziej jest godzien niezycziwego zdumienia, i zawód, jaki przyczynia, jest tem większy.

Czemże jest w danym wypadku kamień obraży?

To — moda.

Nie poraz pierwszy zabieram głos w sprawie tej, pozornie obcej dla publicystyki, społecznej dziedzinie, ale poraz pierwszy mam w tej sprawie zdecydowane zdanie, w związku z nią, o kobietach. Naprawdę, nie umiałabym inaczej powiedzieć, tylko czuję w stosunku do nich rodzaj lekceważenia. Istotnie! Kobieta jednak ustępuje bezwzględnie przed wszechwładnie rozpierającym się po życiu kobieciątkiem, któremu można wmówić każdy nonsens i które z uroczym dąsem będzie zapewniało, że samo nie wie, poco to robi, no, ale kiedy już wszystkie tak robią — to i one!

Przed miesiącem dowodziła kobieta, że nigdy w życiu nie zmieni wygodnej, praktycznej i współczesnej garsonki na śmieszne i niehigieniczne długie suknie. Dziś je wlecze za sobą, pęta się w nich, odzwyczajona od tego typu stroju; narzeka, że są kosztowne, niewygodne i bez wdzięku, i — nosi mimo to. Owszem: ubiega się, aby jej była właśnie najdłuższa i najniewygodniejsza!

Nie wiem, co robi ze wszystkimi argumentami, które tak świetnie przytaczała na pochwałę zręcznej, wykwiśniętej, wygodnej i młodziutkiej sylwetki garsonki? Nie wiem, jakim alchemicznym procesem zmienia swoje zdanie, co do powrotu gorsetów, które teraz mogą się nazywać pasami, czy też abrakadabrami, ale wciąż pozostają gorsetem, absolutnie tamującym swobodę i zdrowie? Nie umiem wczuć się w psychologję nie tego już, że coś innego nosi, skoro to inne jest powszechnie noszone — to łatwo pojąć; ale że znajduje natychmiast z rozrzewniającą przebiegłością setki argumentów na dowiedzenie, że ta właśnie moda jest świetna, a tamta była już naprawdę siaka, taka i owaka, i że w gruncie o niczem nie marzyła, tylko aby nareszcie przyszła inna.

Za pół roku okaże się, że dzisiejsza była też tylko niefortunnie narzuconym ciężarem, a że istotnie wykwiśnięta i szykowna kobieta może się ubierać wyłącznie, powiedzmy, w strusie pióra, obetkane dokoła ratunkowego pasa, i mieć doczepiany ogon jaguara, za którym będą ciągnęły tłumy przyczarowanych wielbicieli.

Nie można wiedzieć, czy w tajemniczych mrokach, skąd nieznanne bractwo masonskie dyktuje postulaty mody, nie znajduje się jaki wesóły gość, który się bawi kosztem marjonetek, ubieranych gustem własnego widzimisię. Przeglądając kroniki mody od pra-

czasów i do dziś, widzimy, że niema dziwactwa, niewygody i potworności, którejby kobieta nie przyjęła radośnie, jak wiadome stworzenie nowy orzech, dlatego jedynie, że jest — nowy. Nosila obręcz, jak beczka, i siodła, jak wielbłąd; zaśrubowywała się w pancerz i pieniała się falbankami, jak kaskada; stapała na szczydlach i posypywała się mąką po sztucznej w dodatku włosiu, spiętrzonej na głowie, jak katedra Kolońska...

Miły Boże! czyby nie czas już zaprzestać, o wdzięczne moje i płocze współcierpiętniczki?! Czy naprawdę nie czas już jest, ażeby modę tworzyły — kobiety, przynajmniej, o ile o kobiety idzie? Czy nie czas na zdrowy sąd o rzeczy, dotyczącej *naszego* i nam tylko znanego budżetu, warunków domowych, stylu osobistego, wygody, zdrowia i — ambicji, ambicji przedewszystkiem!?

Tak niewysłowienie upokarzająca i bezmyślna rola, jaką odgrywa milion kobiet myślących i ambitnych w ręku kilku, dla zysku zrzeszonych, hurtowników-mężczyzn, żerujących na ich bierności i sugestji, że tak właśnie tylko można — to przechodzi pojęcie!

Nieprawda: można inaczej! Rzymska i grecka moda, którą się zachwycamy dwa tysiące lat i na której tle zawsze wyglądamy pajacowato — nie skakała histerycznymi rzutami z długich do krótkich, z pancierzastych do bufiastych, z matronowatych do podlotkowatych! Była jedna — a pozostawiała i tak moc miejsca na inwencję osobistą; tak samo i ucieszenie. Znakomity paryski Antoine wzoruje się stale na główkach antycznych — i mógłby dużo powiedzieć o tem, jak się przedstawia nasze mistrzostwo w stosunku do klasycznego: jest niemowlęciem, mimo wszystkie wysiłki i wybryki!

I nic dziwnego: moda, trwająca sezon lub dwa, niema możności i czasu wyrobić gustu, ani odpowiednich wzorów i tkanin, ani otoczenia domowego, któreby było do stroju i typu współczesnego życia dostosowane. Światby oszalał, żeby wszystko to musiał zmieniać. A tymczasem, jest to dla prawdziwego piękna i stylu nieodwołalnie konieczne: ośmieszamy się, wlokąc długie suknie po brudnych schodach i dekolując się do pasa w zimnym klimacie, którego nie zmieni ogrzana sala balowa; nie stać nas na futra tak wspaniałe i fantazyjne, któreby harmonizowały z wymyślnymi sukniemi, wychodzącymi z pod ubogich imitacyj, jak łąta. Meble nasze, zatrudnienia domowe i cały tryb życia wymaga zupełnie innego kroju, długości, trwałości i wzoru, niż ten, który narzucają nam francuscy mistrzykowie. Niemożliwym i niedopuszczalnym jest już nareszcie, przy naszych trudnych zarobkach, przy braku mieszkań, przy upadku wszelkiego piękna w życiu, kiedy nie stać nas często na kwiat do pokoju lub na książkę, czy obraz: abyśmy wciąż i ustawicznie musiały tylko myśleć o sprawianiu, przerabianiu, farbowaniu i dosztukowywaniu szmatek, które są skutkiem tego tandetne, a ma-

ją imitować przepych arystokratycznych salonów, gdzieś w innem państwie, w innym klimacie, zwyczajach i potrzebach wymyślony.

Tyle razy śmiejemy się, widząc na wsi dziewczęta, które śmiesznie i pretensjonalnie się stroją, usiłując dociągnąć się do elegancji naszej; niestety! tak samo wygląda nieraz nasza elegancja w stosunku do tej, która o niczem, prócz najkosztowniejszego wydania swoich nadliczbowych milionów, nie myśli! To — nie dla nas! To — imitacja i owczy pęd, któremu naprawdę czas już powiedzieć: basta!

Nie należę osobiście bynajmniej do purytanek stroju i względnie dbam o wygląd zewnętrzny; ale bezmyślne podchlebianie się obcym i pozbawionym dla nas sensu wybrykom, rujnującym nasz budżet i absorbującym głupimi szmatkami myśl, dziś zatrudnioną zarobkowo, naukowo, artystycznie, czy inaczej, to — coś, co mnie buntuje i mierz! Nikt mi nie wyperswaduje nagle, że gorset stał się dobry, i nie będę — wyraźnie: nie będę!... go nosiła! Nie będę wlokła ciężkich i niezgrabnych sukien z ogonami, nie będę wkładała słomki — u nas!... — w lutym (moda z Rivieri, gdzie wtedy jest logiczna), a futra w lipcu! Nie będę narzekała na drożyznę w kraju i kupowała jednocześnie zagraniczne materiały tutaj, kiedy mamy własne i śliczne! A będę natomiast robiła bunt, wbrew wszelkim łagodzącym i wdzięcznym perswazjom lansatorek gorsetów i ogonów w rubrykach naszej mody.

Ktokolwiek ze mną współczuje i współ-myśli, niech o tem woła! Pisze! I protestuje! Będziemy początkiem ligi mody pod hasłem: kobiety dla kobiet, i każdy kraj dla siebie!

M. H. Szpyrkówna.

## HODOWLA KUN

Rok rocznie Polska sprowadza z zagranicy szlachetnych futer za około 200 milionów złotych, to też coraz więcej hodowców garnie się do zakładania odpowiednich ferm u nas w kraju, aby zmniejszyć tak poważny wywóz gotówki do obcych.

W dniu 2 grudnia r. z. założony został przy Centralnym Komitecie do Spraw Hodowli Drobiu w Polsce „Związek Hodowców Dzikich Zwierząt Futerkowych”, który, dla uświadomienia szerszych warstw o celach i sposobach tego rodzaju hodowli, urządza w dn. od 27-I do 1-II r. b. specjalny kurs hodowlany. Zapisy przyjmuje biuro Związku w Warszawie (Kopernika 30).

Ojczyzną przeważnej ilości szlachetnych zwierząt futerkowych jest Ameryka Północna, gdzie zwierzęta te powoli zostały oswojone i przyzwyczajone do życia w niewoli, co dla ich hodowców i właścicieli stało się źródłem ogromnych zysków.

W Europie francuzi już dawno zwrócili uwagę na tę okazałą gałąź dochodową, i z Francji przenika ona do nas, ale w tempie, niestety, bardzo jeszcze powolnym. A jednak wartoby się nad tem poważniej za-



stanowić i miliony, wydawane corocznie na zakupno skórek, w kraju zatrzymać.

Znany hodowca francuski, p. L. Leduc, tak opisuje hodowlę kun w piśmie „Vie à la campagne”: Nie ma prawdopodobnie w lasach naszych zwierzątka bardziej dzikiego, okrutnego i niekarnego, niż kuna. Stworzonko to, zaznawszy swobody, nigdy się do klatki nie przyzwyczai; wychowane zaś od małości w niewoli, oswaja się bardzo szybko, bawi się chętnie z ludźmi i łąsi się, jak kot“.

Skórki kuny, hodowanej racjonalnie, dochodzą do 300 franków za sztukę; za wyjątkowo piękne okazy można otrzymać nawet 500 fr. Stosunkowa łatwość hodowli, przy poważnych zyskach, wpłynęła tak dodatnio na rozwój wielu już obecnie wielkich ferm lisów srebrnych, niebieskich, wydr, soboli i kun.

Największą trudnością w początkach jest nabycie odpowiednich, dobrych sztuk zarodowych\*), a następnie zbudowanie im mieszkań tak, aby jaknajwięcej zbliżone były do naturalnych, leśnych.

Zbijamy im więc dużą skrzynię, (jak to widać na rysunku), z frontu 1 m. 80 cm. wysoką z tyłu wyższą o 20 cm., aby woda deszczowa szybciej spływała, nie zatrzymując się na dachu. Boki i tył muszą być szczelne; z frontu daje się siatkę drucianą, w dolnej części tylko deską (szerokości 50 cm.) zasłoniętą; dachek najlepszy cementowy, lub kryty papą. Przednią ściankę dzielimy na dwie części i spajamy zawiasami tak, aby jedna część tworzyła drzwi. Wnętrze też dzielimy na dwie części: górną i dolną; górną, na 50 cm. wysoka — to sypialnia, która jednak powinna zajmować nie całą górę, kończąc się mniej więcej na 40 cm. przed przednią ścianką; podłoga tej „sypialni” musi wystawać na 10 cm. po za sypialnię, tworząc balkonik; w przedniej ściance sypialni robi się dwa okrągłe otwory — wejścia dla kun.

Dolna część — to stołowy, bawialny, lub podwórko, w którym zwierzątka dnie spędzają. W jednym miejscu przymocowujemy grubą gałąź z mniejszemi rozgałęzieniami, które służą kunom za drabinę na górne piętro, jedną trzecią zaś klatki zaścienamy stosem drobnych gałązek, które dla nich stanowią

najulubieńszą rozrywkę, a równocześnie służą do czesania i wygładzania sierści, gdy się między nimi przemykają. Sypialnię wykładamy obficie słomą, bo nic nie jest tak miłym dla tych stworzonek, jak możliwość zagrzebania się całkowicie na całą noc w słomie lub sianie. Aby je móc w razie potrzeby w sypialni rewidować, wycinamy w górnej tylnej ściance drzwiczki otwierane i zamykane z zewnątrz. Dolna deska z frontu, przykrywająca siatkę, nie powinna być węższą, niż 50 cm., aby kuna nie niepokoiła podczas jedzenia. Misceczek powinno być w klatce stale trzy: jedna do potraw stałych, jedna do wody i jedna do mleka.

Przedewszystkiem starać się musimy o wyprodukowanie skórek możliwie jednolitych, bo tylko takie posiadają wartość. Najlepiej złapać kunę z małymi, które jeszcze gniazda nie opuszczają, i te właśnie małe przeznaczyć do hodowli. Stara kuna nigdy się nie oswoi, a staranie się o to — to czas kompletnie zmarnowany. Wiecznie będzie się rzucać, jak szalona, po całej klatce, gryźć ogrodzenie, lub, odmawiając jadła, siedzieć stale smutna w najodleglejszym kącie.

Skórka takiej kuny traci absolutnie na wartości, gdyż rzucając się, zwierzątko się kaleczy i sierść pasami wrywa. Trzymać ją trzeba, dopóki młode nie podrosną, potem wypuścić na wolność.

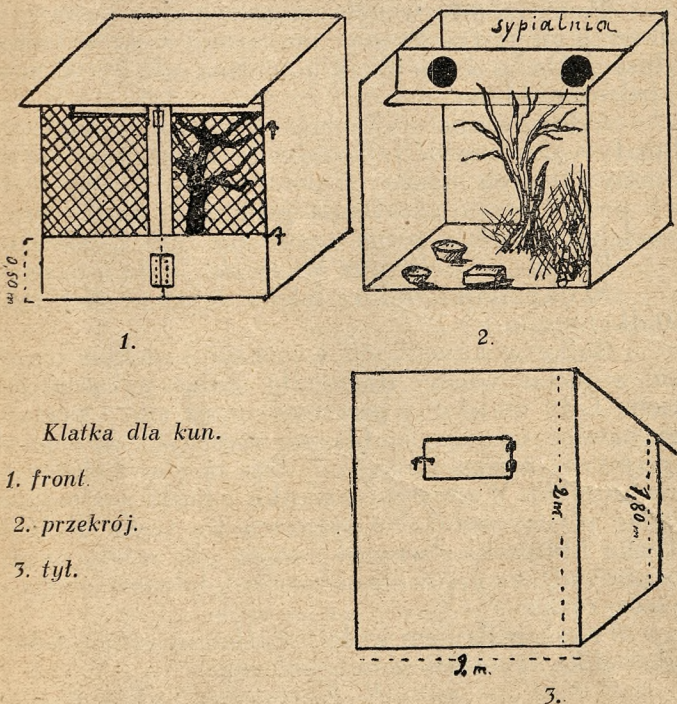
Kuny w stanie dzikim znajdują się w lasach, w bliskości domostw ludzkich, lub poprostu na strychach zabudowań folwarcznych. Czas łapania ich trwa od końca lutego do końca maja. Mądre to są stworzenia i trudne do wykrycia. Mając psa, trenowanego do polowań, najłatwiej wpaść na ich trop, to też najlepiej miot cały zamówić u strzelca, a choćby się nawet za nie drogo zapłaciło, kosztu zawsze się wróca.

Będąc już w posiadaniu starej kuny i kilkunastu małych, kładziemy je do bylejakiej skrzyni przewiewnej, suto słomą zasłanej, i tam je zostawiamy przez jakieś dwa do trzech tygodni, t. j. do czasu, kiedy same o własnych siłach gniazdo opuszczają będą chciały. Dopóki matka jest z niemi, o jedzenie ich dbać nie trzeba, tylko starą codziennie karmić. Gdy już okazują chęć skakania i drapania się na ściany, wtedy przenosimy je do przygotowanych klatek, zbadawszy poprzednio ich pleć. Umieszczamy je parkami (samice i samca razem), gdyż inaczej spowodujemy straszne bójkę. Do małych zachodzić trzeba często, głaskać je i bawić się z niemi, żeby je oswoić, co nie jest łatwym zadaniem.

Kuny nie są wybredne w jedzeniu; dawać im możemy różnorodne jarzyny, owoce i koniecznie mięso codziennie, ale gotowane, bo surowe rozbudza w nich dzikie instynkty, które tylko drzemą i czekają na okazję przejawienia się. Do picia podajemy im wodę czystą i w osobnej miseczce mleko. Jedzenie, jak i picie, musi być codziennie świeże, choćby zadane, w dniu poprzednim nie było całkowicie spożyte; miseczki muszą być codziennie myte. O ile kuny nie są wybredne, o tyle są kapryśne: jednego dnia zjedzą wszystko i jeszcze dopominają się o więcej; drugiego — nie chcą znów nic, choćbyśmy im same smakołyki przynosili. Dawka dzienna dla jednej sztuki jest: 1 — 2 decylitrów mleka, lub zupy, 60 — 70 gr. mięsa gotowanego, wody, ile wypije, i trochę jarzyn; mięso może być końskie lub z ptaków mniej pożytecznych.

(dok. nast.)

A. D.



Klatka dla kun.

1. front.

2. przekrój.

3. tył.

\*) U nas w Polsce wszelkich informacji w tym względzie udziela wyżej wymieniony Związek.

## ZASADY RACJONALNEGO GOTOWANIA DLA CHORYCH I OZDROWIĘNCÓW

*Kleje i potrawy mączne.*

Kleje są to zupy z mąki lub kasz, rozcieńczone wodą lub mlekiem. Kleje gotuje się tak długo, aż ziarna skrobi zupełnie popękają i krochmal, czyli mączka z ziarna przejdzie do nawpół rozpuszczalnego roztworu i osiągnie t. zw. stan koloidalny.

Wtedy mączka, czyli skrobia, łatwiej podlega działaniu soków trawiennych. Dlatego też czas gotowania klejów powinien być regulowany według zęgara.

Cedząc kleik przez sito, usuwamy części stałe, a jednolita masa kleju nie drażni błony śluzowej przewodu pokarmowego, ale przeciwnie wyściela się warstwą, przylegającą do ścian kiszki.

W gotowaniu klejów uwzględnić należy następujące punkty:

1) Gotować w temperaturze wrzenia, najlepiej w specjalnym rondelku do gotowania na parze, który nabyć można w firmie Lubkiewicz.

2) Uważać na właściwy stosunek między ilością kaszy, wody i soli.

3) Uważać na czas, przeznaczony do gotowania, i gotować raczej dłużej, nigdy krócej, niż każe przepis.

4) Podanie estetyczne i apetyczne.

Nieracjonalne gotowanie oraz nieestetyczne podanie są w dużej mierze powodem, dla którego kleje i kasze mało mają amatorów.

Rozważmy naprzód punkt pierwszy.

Kaszę, sparzoną kilka razy na sicie, dokładnie płócemy. Wrzucamy na gotującą się wodę z określoną ilością masła. Nie solimy, bo od soli kleik czernieje (szczególnie z kaszy orkiszowej). Pogotować należy kilka minut pod przykryciem, potem wstawić do większego rondelka z gotującą się wodą i postawić na wolny ogień; gotować  $1\frac{1}{2}$ — $2\frac{1}{2}$  g., zależnie od grubości kaszy.

**Punkt 2.** Jeśli mamy kaszę drobną (manna, kaszka krakowska), bierzemy  $1\frac{1}{2}$  — 2 szklanek płynu na  $\frac{1}{2}$  łyżki kaszy (łyżka płaska); jeśli kasza jest grubsza, np. płatki owsiane — bierze się  $1\frac{1}{2}$  — 2 szkl. płynu na 4 łyżki kaszy. Gotując kaszę grubą, np. jęczmienną, bierzemy  $1\frac{1}{2}$  — 2 szkl. płynu na 2 łyżki kaszy.

**Punkt 3.** Kleje z drobnych kaszek gotować można  $1$ — $1\frac{1}{2}$  g., z grubych —  $2$ — $2\frac{1}{2}$  g.

**Punkt 4.** Po przedcedzeniu podawać można kleiki, rozcieńczone mlekiem, śmietanką, zaprawione żółtkiem, lub wymieszane z ubitą na sztywno pianą z białka.

**Kleik z kaszy orkiszowej najdrobniejszej.** Ilość:  $\frac{1}{4}$  kg. kaszy,  $2\frac{1}{2}$  litra wody, 2 łyżki masła niesolonego (sól dodawać przed samem podaniem).

Kaszę sparzyć kilka razy na sicie, wymyć starannie w ciepłej wodzie. Do gotującej się wody włożyć masło, wsypać kaszę, mięszać kilka minut, przykryć, postawiwszy na wolny ogień, i gotować  $2$ — $2\frac{1}{2}$  g. Przedcedzić przez gęste sito; można zaprawić żółtkiem, lub wymieszać z pianą z białka.

**Kleik z płatków owsianych.** Ilość:  $\frac{1}{4}$  szklanki płatków owsianych,  $\frac{1}{2}$  łyżeczki soli,  $1\frac{1}{2}$  szklanki wody,  $\frac{3}{4}$  szkl. mleka lub  $\frac{1}{2}$  łyżki masła.

Wsypać płatki owsiane do gotującej się, osolonej wody, pogotować 5 minut; potem wstawić na 1 godzinę do naczynia z wrzącą wodą, przedcedzić, rozcieńczyć mlekiem lub wodą, dodać masła czy mleka.

**Kleik z ryżu.** Ilość: 4 łyżki ryżu wymoczonego,  $1\frac{1}{2}$  szklanki gorącego mleka, 1 łyżeczka cukru,  $\frac{1}{4}$  łyżeczki soli. Ryż opłókać, sparzyć, przelać kilka razy zimną wodą, odcedzić; dodać cukru, wrzucić na gotującą się mleko; po 5 minutach zdjąć z ognia, wstawić do większego rondelka z gotującą się wodą, gotować pod przykryciem  $1$ — $1\frac{1}{2}$  g. O ile ryż był wymoczony przez noc, można go ugotować w ciągu  $\frac{1}{2}$  g.

I. Połowę ryżu rozetrzeć przez sitko, dodać pianę z jednego białka, włożyć do foremki, opłókaną zimną wodą, wynieść do zimnego miejsca; po ostudzeniu polać sokiem.

II. Drugą część, rozartą, rozprowadzić gorącym mlekiem w ilości 2—3 łyżek; dla smaku dodać cukru lub soli.

Wśród potraw mącznych kluski w Polsce są bardzo rozpowszechnione. W diecie dla chorych lub ozdrowieńców, o delikatnym przewodzie pokarmowym, kluski zwykłe, t. j. zacierki, gruby makaron, kluski kładzione, łazanki — nie powinny mieć miejsca.

Kluski można zrobić jednak łatwo strawnymi, używając do nich białek ubitych na pianę, żółtek, rozartych starannie z masłem, lub też zastępując częściowo mąkę bułeczką, dokładnie wysuszoną w piecu. Bicie jaj ma na celu wprowadzenie do nich powietrza, wskutek czego komórki jaja się rozrywają, powierzchnia klusek się zwiększa i soki trawienne łatwiej przenikają przez te pokarmy w żołądku.

Bułeczka, wysuszona w piecu, ulega dekstrynizacji, t. j. częściowo skrobia — nierozpuszczalna w wodzie, trudniej strawna — zamienia się w rozpuszczalną w wodzie dekstrynę, znacznie łatwiej strawną.

Naogół kluseczki dla chorych powinny być bardzo miękkie i muszą „rosnąć w wodzie”, gdy się je gotuje (zapewnia to dodatek piany i ubitych żółtek, o ile kluski są starannie zrobione).

Aby uczynić strawniejszym makaron, który robi się z ciasta bardzo twardo zagniecionego, należy go bardzo cienko krajać.

Podczas gdy wogóle odgrzewanie potraw dla chorych nie jest wskazane, makaron i niektóre rodzaje kluseczek odgrzewać nie tylko można, ale jest to nawet bardzo pożądane.

Odgrzewanie najlepiej skutecznie nad parą (nigdy — przysmażyć!). Do odgrzewania klusek, makaronów i innych mącznych potraw użyć można rondelka podwójny do gotowania jarzyn na parze. Jest to rondelak, którego górna część ma dno z otworami.

Przepis na *delikatne kluseczki* — na 6 osób.

20 dkg. bułki,  $\frac{1}{2}$  litra mleka, 4 jaja, 5 dkg. mąki, 10 dkg. masła.

Bułkę w kawałkach wysuszyć i zlekką zrumienić w piecu, włożyć do rondla. Zalać wrzącym mlekiem. Gdy zmięknie, przetrzeć przez sito i postawić na patelce na gorącej blasze, mieszając, aby papka zgęstniała. Żółtka utrzeć z 7 dkg. masła, dodając trochę mąki. Wymieszać z papką z bułki, podsuszoną, dodać pianę, osolić. Na gotującą się wodę kłaść łyżeczką kluseczki. Zwracać uwagę, aby woda niezbyt gwałtownie się gotowała, kluseczki, bowiem, mogą się wtedy rozlecieć.

Przed podaniem polać masłem rozpuszczonym, lub zlekką zrumienionem z bułeczką.

M. Morzkowska. — Mag. dietyki.

## KILKA SŁÓW O ZUPACH

Do niedawna zupa była w Polsce uważana za nieodzowną część każdego obiadu. Obecnie wielu lekarzy kwestjonuje jej pożywność, natomiast przypisuje zupom własności tuczające — i coraz częściej zaczęto ją wykreślać z jadłospisów, lub jadać tylko parę razy na tydzień.

Zupełnie jednak wyrugować zupa się nie da. Nasz surowy klimat wymaga pożywienia gorącego, szybko rozgrzewającego i o dużej objętości — takim pożywieniem jest właśnie zupa. W domach, gdzie są mężczyźni o dużych apetytach, młodzież dorastająca, pochłaniająca olbrzymie ilości pokarmów, nie da się zupy niczem zastąpić. Gra ona też dużą rolę w odżywianiu osób starszych, o słabym trawieniu — używających przeważnie tylko pokarmów płynnych.

Z biegiem czasu warunki ekonomiczne tak dalece się zmieniły, że musimy się wyrzec mocnych rosółów, gotowanych na ogromnych ilościach mięsa — jako głównej podstawy przy przyrządzaniu zup wszelkich, i to nie tylko ze względu na duży koszt. Takie mięsne wyciągi są nadzwyczaj szkodliwe dla wszystkich, cierpiących na wadliwą przemianę materii — a któż z ludzi w wieku średnim nie cierpi na jakąkolwiek formę artretyzmu?

Musimy więc nasze zupy zmodernizować, zrobić je mniej kosztownymi, mniej czasu zużywać na ich gotowanie, a zachować im, lub nawet podnieść ich smak i pożywność.

Zanim przejdę do poszczególnych zup i wspólnych sposobów ich przyrządzania, muszę zaznaczyć, kiedy i jak one bywają stosowane.

Otóż, w zwykłym, codziennym obiedzie zupa musi stanowić się do reszty jadłospisu, tworząc z nim harmonijną całość. Zupa ciężka, pożywna, np. grochówka, na wędzonce, barszcz wołyński, czernina na drobkach z kluseczkami — będzie odpowiednia do dalszych dań lekkich — potrawek, ryb, jarzynek. Po zupach zabielenych winniśmy też unikać wszelkich dań, tonących w zawiesistych sosach. Przeciwnie: wszystkie zupy jarzynowe, czyste barszczyki, rosółki, należy nie tylko podawać na obiadach tłustych i długich, lecz jeszcze powiększać ich pożywność dodatkiem pasztecików, grzanecek lub różnych zapiekane w tygielkach, muszelkach, i t. p. W upalne dni lata możemy wybornie zupy mięsne zastąpić przeróżnymi chłodnikami i zupami owocowymi.

Dużą rolę odgrywa zupa przy ceremonialniejszym obiedzie prozonym. Podaje się nawet w takim razie dwie zupy do wyboru. Jedną czystą: rosół, barszczyk, kwasek czysty, buljon rybny i t. p.; drugą — purée ze zwierzyny lub drobiu, jarzynową na smaku mięsnym, zaprawioną żółtkami, rakową, żółwiową i t. p. Czysty barszczyk lub buljon w filiżankach, stanowi początek lub zakończenie prozonego śniadania. Także sam barszczyk lub mocny rosół stanowi nieraz początek wystawniejszej kolacji. Stosownie do wiekami uświęconej tradycji, są to jedyne gorące dania, spożywane przez dwa pierwsze dni Wielkiejnocy przy zinnem święconem. Barszczyk czerwony jest stanowczo naszą zupą narodową, używamy go przy każdym niemal obchodzie uroczystym, bo w wielu domach od niego się też zaczyna wiececzkę wigilijną. Zresztą tutaj ma on niebezpiecznych rywali

w postaci czystego buljonu grzybowego i przeróżnych zup rybnych.

Kuchnia współczesna jest bardzo urozmaicona. Jeżeli dawniej znano kilkanaście dań każdej grupy i miano za nieomyślne tylko przepisy tradycyjne, w każdym domu od szeregu pokoleń przechowywane, to dzisiaj gospodyni, chcąc iść z postępowym czasem, musi znać setki potraw i starać się przy przyrządzaniu ich stosować najnowsze, najłatwiejsze i najprostsze metody, zgodne z zasadami prawidłowego odżywiania, dietyki, z wartością kaloryczną dań.

I jeszcze jedną uwagę ogólną, co do zup, pozwolę sobie tutaj zrobić. Jeżeli iemy zupy, jedzmy je w takiej ilości, jak inne dania. Pół talerza smacznej, po silnej zupy, przy większym apetycie — pełny jej talerz, powinny wystarczyć. Nie dziwnego, że ciężko pracujący robotnik zjada aż dwa talerze zupy; ludzie, pracujący umysłowo, tyle płynu, chociażby najsmaczniejszego, wlewać w siebie nie powinni.

Rosół uważam za jedną z najsmaczniejszych zup; tylko nie wolno nam, tak, jak dawniej, gotować go codziennie i uważać, że tylko na rosole mięsnym otrzymamy smaczną zupę.

Rosół jest zupą bardzo kosztowną, gdyż oprócz produktów, bezpośrednio nań użytych, wymaga dużo czasu na ugotowanie, a co za tem idzie, dużo opału. Rosół mięsny z włoszczyzną musiały do Polski przywieźć królowe francuzki i włoski, gdyż francuski narodowy „pot-au-feu“ i włoski „il brodo“ są zupełnie identycznie gotowane i mają zupełnie te same części składowe. Tylko, że we Francji ten „pot-au-feu“ jest potrawą świąteczną, niedzielną i wraz ze sztuką mięsa, w nim ugotowaną, z klasycznym dodatkiem całej lub części kury, stanowi w domu średniej całej podstawową część obiadu — na którego resztę składają się różne sałatki, leguminki, ser i owoce.

Sam rosół, umiejętnie przechowywany — właściwie codziennie rano przegotowywany i trzymany w suchem i chłodnym miejscu — przez dni kilka służy za podstawę wszelkich zup. Toż samo robią ze swoim „il brodo“ włosi. Umiejętnie go przechowują przez dni kilka i podają coraz to z innymi kluseczkami, makaronami, ryżem i t. p.

Aby rosół był dobry, powinien, zależnie od kruchości mięsa, gotować się od dwóch i pół do trzech i pół godzin. Musi gotować się wolno, gdyż tylko wtedy będzie czysty i klarowny.

Wiele dyskutowano na temat, czy należy, czy też nie należy szumować rosółu, gdyż twierdzono, że przy szumowaniu wyrzuca się najcenniejsze pod względem pożywym białko. Otóż białko to nigdy w rosole nie pozostanie. Jeśli rosółu nie zszumujemy, to ono się ściągnie i opadnie na dno w postaci mętów, które następnie będziemy musieli precedzić. Ma więc każda gospodyni wolny wybór: zdjąć szumowiny przy gotowaniu z wierzchu garnka, lub też odcedzić je z dna tegoż garnka.

Przesądem jest twierdzenie, że dobry rosół można ugotować tylko w kamiennym garnku — przeciwnie, garnek taki zawsze wkońcu nabiera zapachu starego tłuszczu, i udziela tego zapachu rosółowi. Smak rosółu zależy nie od garnka, lecz od starannego i umiejętnego przyrządzenia i od dostatecznej ilości włożonej włoszczyzny, czyli jarzyn: z samego mięsa nie otrzymamy nigdy smacznego rosółu. Marchew, pietruszka, por, seler, koperek i cebula, razem wzięte, dopiero dadzą należyty smak i aromat rosółowi.

(dok. nast.)

Pani Elżbieta.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

Dzisiaj podaję kilka niekosztownych, zimnych dań, które znajdują zastosowanie w skromnej, zimnej kolacji lub bufecie na niedużym, domowym przyjęciu. Zastąpią one tak drogie obecnie wędliny, dorównają im smakiem, a będą przeszło o połowę od nich tańsze.

## NOGI WIEPRZOWE FASZEROWANE.

Wziąć wszystkie cztery nóżki od wieprza, przyczem tylne powinny być ucięte aż do samych kolan. Z tych nóg tylnych ściągnąć całą skórę z kopytkami. Mięso z kośćmi i przednie nogi ugotować, jak zwykle, na galarecie. Do smaku włożyć marchew, pietruszkę, pół selera, parę cebul, listek, pieprz i ziele w ziarnkach.

Czterdzieści deka przerastającej wieprzowiny przepuścić przez maszynkę wraz z dwiema bułeczkami (warszawiankami — wagi około 10 deka), wymoczonymi w wodzie lub mleku. Kawalek ozora czy szynki surowej pokrajać w kostkę, tak samo kawalek wędzonej słoniny; dwa jaja, na twardo ugotowane, pokrajać na ćwiartki, można też dodać parę zielonych korniszonów. Mięсны farsz osolić, popieprzyć, dodać tartej galki muszkatołowej, skórki cytrynowej, jedno jajko całe, wyrobić doskonale.

Skórę z nóg nadziewać naprzemian farszem, wędliną i jajami, uważając, aby kawałki tej wędliny i jaj kłaść wzdłuż nogi, co jest ważne przy krajaniu. Zaszyć nogi dopasowanymi kawałkami płótna, gotować w smaku z wody z włoszczyzną, cebulą i korzeniami. Gdy zupełnie zmiękną, co może potrwać parę godzin i więcej, wyjąć z wody, dać nieco przestygnąć, położyć na deseczkę, przykryć drugą i nacisnąć ciężarkiem. Smak wlać do gotujących się nówek.

Gdy mięso z nich zupełnie od kości odpadnie, wyjąć je, pokrajać drobno. Dno dużej formy metalowej lub kamiennej wyłożyć listkami pietruszki, plasterkami jaj, na twardo ugotowanych, plasterkami cytryny; mięso wymieszać ze smakiem przedczonym, przelożyć do formy, wynieść na chłód.

Przed podaniem galarete wyłożyć na półmisek. Faszerowane nogi pokrajać na cienkie plastry i ułożyć wkoło. Podawać można do tego ostry sos musztardowy, lub tatarski, albo zwykły chrzan z octem.

Najlepsze **samopoczucie** zapewniają

**opaski miesięczne dla pań „SIGI“**

Nie ścierają skóry. Nie wymagają prania, są giętkie, zupełnie nieprzemakalne i dają się łatwo zmieniać.

Do nabycia we wszystkich odnośnych sklepach.

243

## GALANTYNA Z ŁOPATKI CIEŁĘCEJ.

Z dużej, białej łopatki cielecej wyluzować starannie kości, uważając, aby jaknajmniej uszkodzić mięso. Położyć na desce. Resztę mięsa oskrobać z kości, dodać z pół kilo tłustych obrzynków od szynki, trzy bułeczki (około 15 deka), wymoczone w mleku lub wodzie. Przepuścić to dwa razy przez maszynkę, osolić, popieprzyć, dodać jajko całe, wymieszać doskonale, rozsmarować równo na cielecinie. Na tem ułożyć trzy jaja, na twardo ugotowane, pokrajane na ćwiartki, ćwierć kilo szynki lub ozora, pokrajanych na płatki, jeśli jest — nerekę cielecą, lub kawałek wątróbki, pokrajane w plasterki, parę zielonych korniszonów dla koloru. Zwinąć mocno, jak ruladę, zaszyć, owinać w płótno, osznurować szpagatem.

Kości ugotować na smak z włoszczyzną, jak na rosół, w warzence od ryb. Włożyć w gotujący się smak galantynę i gotować dwie i pół godziny na wolnym ogniu. Po ugotowaniu, godzinę potrzymać w smaku, wyjąć na deskę, przycisnąć drugą deską i ciężarkiem. Smak wysadzić do ilości trzech szklanek, przeceścić: jeśli mętny, sklarować białkiem, zakolorować karmelem na bladło-złocisty kolor, dodać ze cztery listki żelatyny, aby galareta była twarda, zastudzić w miseczce.

Przed podaniem rozwinąć galantynę, usunąć z niej nici, pokrajać w plastry, ułożyć na półmisku, ubrać wkoło sałatką lub jarmużem. Galarete posiekać i obsypać nią suto mięso. Do tego podaje się sos majonezowy zwykły, lub ostry tatarski.

Jeśli chcemy tę galantynę przechować przez czas dłuższy, należy zdjęte z niej płótno wypłókać w czystej wodzie, zmoczyć octem i zawinąć zpowrotem galantynę. W takim razie smak użyć na jakąkolwiek zabielań zupę, gdyż galareta dłużej, niż doba, stać nie może.

## PASZTET Z RYBY.

Z dwóch kilo ryby bez ości (może być i dorsz, a szczególnie jego biała odmiana — kabeljan) połowę ugotować w smaku z cebulą, listkiem i pieprzem, drugą połowę użyć na farsz następujący: surową rybę usiekać drobno, dodać trzy bułeczki (15 deka), wymoczone w wodzie, dwie cebule duże, utarte na tarce, dwa jaja całe. Siekać jeszcze razem, lub przepuścić przez maszynkę. Zaprawić do smaku solą, białym pieprzem, imbirem, skórką cytrynową i t. p.

Z sześćdziesięciu deka mąki, trzydziestu deka tłustego masła, łyżeczki soli i paru łyżek wody zagnieść kruche ciasto, cienko rozwałkować i wyłożyć niem tortową lub keksową formę, pozostawiając trzecią część na zasklepienie. Ułożyć na to rzędami farsz i rybę, połupaną na grube kawałki. Połać szklanką rosółu z ryby, pokryć ciastem, dobrze złączyć brzegi, nakłuć widelcem, aby para wychodziła, i piec w średnio gorącym piecu przez dobrą godzinę. Po upieczeniu wyjąć z formy i wynieść na chłód na całą doba.

Do takiego pasztetu najodpowiedniejszym dodatkiem jest zimny, ostry sos pomidorowy, w Ameryce nazywany „Katschup“; jednak i bez takiego ostrego dodatku smakuje on wybornie z sosem musztardowym, lub wprost z octem i oliwą.

Pani Elżbieta.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczy“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZY“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZY“, Rymarska 8, tel. 244-19.

# Nasza Mównica

## Nigdy zawiele pracy społecznej.

Pragnę poruszyć w dziale „Naszej Mównicy“ sprawę, leżącą mi niezmiernie na sercu, muszę się przedewszystkiem usprawiedliwić z tego, iż nie czując się bynajmniej powołaną do zabierania głosu, bądź co bądź publicznie, jednak się na to porywam. Rzeczywiście jestem do najwyższego stopnia onieśmielona, nadużywając już uprzejmości zacnej naszej i drogiej nam wszystkim Redakcji oraz cierpliwości Sz. Pań czytelniczek. Bowiem poziom ogólny „Naszej Mównicy“ jest ze wszechmiar wysoki, mimo, iż, jak wiadomo, panie głos w niej zabierające, nie są zawodowcami pisarkami, ja zaś nie potrafię wywiązać się z zadania i kwestji danej należycie oświetlić i poprzeć, mimo to przystępuję do dzieła, tłumacząc się ważnością sprawy. Pewnem usprawiedliwieniem niechaj będzie też dla mnie okoliczność, iż o tej sprawie wzmiankowały już krócej lub dłużej i inne pp. czytelniczki, a więc widocznie jest to temat aktualny. Mianowicie już tutaj w „Naszej Mównicy“ poruszano sprawę arcybojętnego stanowiska wielkich mas kobiecych do pracy społecznej, rzucono też projekt ustalenia dla kobiet „powinności społecznej“ tak, jak mężczyźni mają wojskową. W swojej odezwie dzisiejszej, zastrzegam się zgóry, nie mówię o kobietach wybitnych, przodujących naszemu społeczeństwu, a z drugiej strony, nie mówię o spotykanym i dziś jeszcze, niestety, typie kobiet laleczek lub „wiecznych dzidziusiów“ i t. d. Myślę jedynie o nas, którym na imię legjon, o najzwyczajniejszych ludziach, przeżywających okresy upadków i wzlotów. Zaznaczam, iż zdarzało mi się bywać czynnym członkiem zarządów różnych prowincjonalnych instytucyj, częściej zaś, zwykłym członkiem jakiegoś dobroczynnego, lub kulturalno-oświatowego stowarzyszenia, właściwiej mówiąc, kilku naraz stowarzyszeń, a więc dosyć znane mi są te sprawy w różnym oświetleniu. Kilkakrotnie też zmieniałam miejsce pobytu po paru latach, mieszkając kolejno parę lat w dużem mieście, potem zaś w miasteczkach, mniejszych i większych w różnych stronach naszego kraju. Wszędzie uderzała mię po niejakiemś czasie mniejwięcej ta sama forma pracy społecznej: czasem tylko jedna osoba, częściej szczuplutkie grono osób, dźwiga na barkach swych całą odpowiedzialność za organizacyjne życie danej instytucji. Ona, lub nieliczne one, czy oni poślubili ideję zrzeszenia i zespolili się z jej duchem, doskonale „wiedzą o co chodzi“, jak się potocznie mówi, rozumieją, dokąd im dążyć należy, jakimi drogami i wysiłkami. I nie są to przeważnie ani jednostki pod wszelkimi względami wybitne, ani, co częściej jeszcze bywa, wyjątkowo wolne od obowiązków prywatnych: ro-

dzinnych czy zawodowych. Rzecz to bowiem niejednokrotnie już stwierdzona, iż właśnie osoby, żyjące pełnią życia, a więc i pracujące fizycznie i biorące udział w pracach społecznych i niekiedy nawet bawiące się wesoło a niefrasobliwie, one właśnie mają czas na wszystko i w nagłej potrzebie jeszcze go trochę znajdują. Najbardziej zaś nie mają chwili swobodnej i nie absolutnie na siebie wzięć nie chcą osoby nie specjalnego nie robiące i... nie umiejące zorganizować sobie życia, lub pozbawione dobrej woli. Przecie istnieją towarzystwa o paru setkach członków a w których pracuje i zdaje sobie sprawę z całokształtu pracy zaledwie kilka osób.

Przypomnijmy teraz, jak sprawy te stały w okresie przedwojennym, okresie niewoli. Przypomnijmy tysiące związków konspiracyjnych, prześladowania za fakt nauczenia dziecka polskich liter, za poddanie włościanom projektu spółki mleczarskiej czy hodowlanej, bo nie mówię już nawet o służbie szczytnym hasłem wolnościowym, pociągały one ławicę serca i umysły, ale o tych pracach szarych, pozytywnych, wzbranianych, tępionych a przecie wciąż trwających. Wspomnijmy np. wspaniałą rozwój „Macierzy Szkolnej“ w całym ówczesnem społeczeństwie. Któż to godzien imienia polaka, któraż kobieta-polka nie służyła wtedy krajowi tak, czy inaczej? Cóż się stało dzisiaj? Tak, czasy się ogromnie zmieniły, prawda, nasza ojczyzna to dziś nie skrwawiona i skuta wielka niewolnica, lecz wspaniała królowa w majestacie. A jednak obowiązek względem niej pozostał ten sam. Spojrzymy uważnie dokoła: jakie ugory w życiu społecznem, jakie bezmierne obszary pracy czekają naszych rąk, tysięcy rąk szarej rzeszy kobiet. Obowiązek woła na nas wszystkie, i nie wolno nam nie słyszeć jego głosu. Wielka poetka nasza, Marja Konopnicka, naucza wszakże: „póki choć jeden duch w ciemności kona, póki choć jedno serce prawdy głodne, nie wolno spocząć żadnemu z szermierzy“. A przecież my w Polsce mamy (jak wszędzie na świecie) wielkie masy dzieci też chleba głodnych, drżących z zimna i więdnących w „piwnicznych izbach“. I starszych pracy pozbawionych, i starszych, którzy po pracy do szynku idą, bo pójść gdzie nie mają! Nie jestem wyrobioną społeczniczką i nie wskażę wszystkich dziedzin pracy społecznej, lecz kto inny to uczyni, ja tylko czuję głęboko, że źle się dzieje między nami. Prawda, zdarzają się okoliczności wyjątkowe, czasowo zwalniające od pracy społecznej, jakaś choroba przewlekła, czy np. drobne dzieci w domu, plus jeszcze praca zawodowa, lecz naogół obliczmy się lepiej z czasem i sumieniem! Niech nie będzie np. kobiet, które, pełniąc wzorowo swe obowiązki osobiste, cał-

kowicie głuche pozostają na głos obowiązku obywatelskiego, niech też nie będzie bezcelowych, nużących, źle przygotowanych zebrań, odstrasających swą długością i żadnych osobistych względów i antypatyj kierowniczek w pracy społecznej. Na jakiś czas unikajmy też rozpolitykowania i partyjnych waśni, pracujmy porządnie, od podstaw, jak kto potrafi najlepiej, dla jutra naszej Ojczyzny.

„Jedna z wielu“ — Podlasie.

### **Dlaczego nie należy uznawać nieślubnego macierzyństwa** (w odpow. p. J. Krawczyńskiej).

Nie, nie mogę się zgodzić z tem, by macierzyństwo, jako takie, godne było czci i apoteozy. Sam fizjologiczny fakt poczęcia i urodzin nie zasługuje jeszcze tak dalece na szacunek. Dopiero wysokie wartości duchowe matki (może je mieć i kobieta „z niższych sfer“) podnoszą ją w naszych oczach. W przeciwnym razie, zwłaszcza w wypadkach nieślubnego macierzyństwa, nieszanowana bywa przez samego sprawcę, współwinowajcę, bagatelizującego sobie obowiązki wobec kobiety, która zbyt łatwo „bez gwarancji“ mu się oddała. Więcej nawet: on, mężczyzna, z wielu przyczyn czyni niewiastę odpowiedzialną również za swój błąd i uniewinnia siebie w opinii własnej i społecznej. Jest to nielogiczne, niesprawiedliwe, niemniej jednak, tak jest.

Nędzą materialną zwiększa tylko cierpienie duszy u tych szlachetnych i dobrych istot, którym jedna chwila bezinteresownej lekkomyślności złamała na zawsze życie. Mogły być radosne i szczęśliwe.

Znów inne, mniej odporne duchowo, wpadają w moc zła, szargają swą godność człowieczą na bezdrożach występku i zbrodni, popełnianej czasem z nienawiści. Tak, z ślepej i głuchej nienawiści.

Widziałam raz, wszedłszy niespodziewanie do mieszkania, jak dziewczyna szczypała i biła swe chore na oczy niemowlę, mimo jego rozpaczliwych, żalonych krzyków! Ileż maleństw marnieje w ten sposób powoli, ginie, szczęśliwsze jednak od tych, które żyją, zgangrenowane moralnie już od kolebki. A ich matki mogły być przecież dobre i kochające.

Ofiarą i tu i tam bywa prawie zawsze niewinne dziecko, w najlepszym razie, gdy są środki do utrzymania, pozbawione ojca, za którym kiedyś może za tęskni boleśnie, do którego ma swe święte, człowiecze prawo. Mogło być dumne i bezpieczne przy boku ojca. Czasem dzieje się jeszcze inaczej.

Mężczyzna żonaty zapomina o ukochanych dotąd dzieciach, krzywdzi swą rodziną materialnie i moralnie dla niedawno poznanej, „bezinteresowniej“ ciężarnej niewiasty, która jednak tak często umie doprowadzić do rozwodu, budując na krzywdzie, kukułcze dla swego dziecka gniazdo, karmiąc się łzami porzuconych, siejąc nienawiść, posuniętą nieraz aż do zbrodni w walce o sukcesję, o dziedzictwo. A przecież mogłyby w rodzinach i sercach, bliskich krwią, panować miłość i spokój.

Odbija się to wszystko na życiu społecznym, na jego urządzeniach i prawach i w psychikę ogólną

wprowadza rozstrój moralny, czyniący kobietę niewolnicą jej własnych i mężczyzny pożądań w jawnej i ukrytej prostytucji, a mężczyznę krzywdzicielem, krzywdzącym coraz zuchwalej, bez skrupułów i bez wyrzutów. A przecież mogliby, miast pogardliwej nienawiści, uczyć się wzajem miłości i szacunku, postępować obok siebie w przymierzu dusz i ciał, na drodze coraz doskonalszego, ziemskiego szczęścia.

Uzdrowić zaś rany społeczne obok pomocy, udzielanej nieślubnym matkom, może tylko racjonalne uświadomienie płciowe (ileż na tem tle nadużyć i nieszczęść!) i propaganda bezwzględnej przed słubem abstynencji płciowej obu płci.

Przeciwnie, poczucie, iż każde macierzyństwo jest równoważnościowe, zdaje mi się, powiększyłoby tylko liczbę niesumiennych ojców, w myśl przysporzenia społeczeństwu nowych jednostek. A chyba Szanowna autorka artykułu „Łaski pełne i potępione“ nie ma na myśli powrotu do matryjarchatu?...

Wielu współczelniczkom wydam się zapewne głupiutką parafjaną z epoki krynolin i muszek. Myślę jednak, że znajdują się i takie, które przyznają mi słusność; w każdym razie ciekawa jestem ich zdania o tej, tak współcześnie ważnej kwestji.

Może się znowu czegoś niespodziewanego dowiem, a może sama będę miała jeszcze coś do powiedzenia.

Z. P. — Kresy.

### **W służbie społecznej.**

W Krakowie obchodzono bardzo serdecznie i uroczyście 30-letni jubileusz pracy obywatelskiej i społecznej Heleny Witkowskiej. W południe w sali rady miejskiej odbyła się akademja, gdzie wśród owoacji, przemówień przedstawicieli władzy i społeczeństwa, ozdobiono pierś jubilatki złotym krzyżem za służbę; wieczorem raut zgromadził wszystkie wybitniejsze działaczki nasze.

Helena Witkowska w całej pełni zasłużyła na to uznanie, opromieniające jej posrebrzaną głowę nimbem zasługi. Była jedną z pierwszych polek, która oddała się z całym zapalem studjom społecznym i, jako licencjatka nauk społecznych uniwersytetu genewskiego, usiłowała zaprowadzić w Polsce planowość w pracy społecznej, zaprawić do niej całe rzesze młodych kobiet.

Pracuje od lat 30 jako nauczycielka, wykładając historję Polski i przepajając ją nauką obywatelstwa, uczy w uniwersytecie ludowym, na kursach wakacyjnych; miewa liczne odczyty, wykłady, przemówienia, objazdy, a talent jej popularyzatorski i zapal budzą w licznych uczennicach, słuchaczach, czytelnikach gotowość do pracy obywatelskiej i służby społecznej.

Praca jej zostaje uwieńczona skutkiem: Polska odrodzona wprowadza do programu swych szkół „naukę obywatelstwa“. Przedmiot to nowy, w Polsce nie było odpowiedniej literatury, gdyż rządy zaborcze tłumili ją wszelkimi sposobami.

Helena Witkowska zabiera się do opracowania wykładów, opierając obywatelskość o trwałą opokę



Helena Witkowska.

moralności, głosząc, że *każdy obywatel musi mieć głębokie poczucie swej odpowiedzialności za rozwój, dobro i trwanie swego państwa*, że każdy musi być etycznym budowniczym życia społecznego i państwowego. Wykłady Witkowskiej zostają ogłoszone drukiem, jako pierwszy w Polsce podręcznik „Nauki obywatelskiej”.

Oprócz licznych prac popularnych: „Elementarz obywatelski”, „Obywatel”, „Nauka o Polsce społecznej” i t. p. — Helena Witkowska usiłuje jaknajszersze warstwy wciągnąć do służby obywatelskiej. Powstaje stowarzyszenie „Służby obywatelskiej” na gruncie szkół zawodowych żeńskich w całym kraju, a koło krakowskie, pod przewodnictwem Witkowskiej, rozwija najżywszą działalność wychowawczo-propagandową.

Nic też dziwnego, że jubileusz H. Witkowskiej wypadł wspaniale. Współpracowniczki i uczennice wydały specjalną broszurkę Jadwigi Petrażyckiej-Tomickej: „W służbie obywatelskiej i w służbie społecznej”. Sama jubilatka wyraziła życzenie, aby dzień jej jubileuszu stał się dniem obywatelstwa w Polsce, tak jak bywają dni oszczędności, dni Matki i t. p.

M. Mossoczowa — Kraków.

### Co wiemy o eugenicie?

W którymś numerze „Bluszczu” był obrazek z podpisem: „Małżeństwo eugeniczne”. Ten właśnie obrazek „nawrócił” mnie do ideałów eugenicznych.

U nas ludzie nie są zanadto weseli, ale jednak czasem za bardzo pochopni są do śmiechu, bywają też nadmiernie dowcipni... każda rzecz nowa musi być obrzucona mniej lub więcej udatnemi dowcipami, wyśmiana najpierw, a poznana i oceniona potem. Nie mam stu lat, a ile to już ideałów i poczynań ludzkich widziałam, witanych w ten wesóły sposób!

Eugeniczne koncepcje też, naturalnie. „Każda Eugenja znajdzie tam (w tem stowarzyszeniu) Euge-

njusza” i t. p., i t. d. Próbowałam poinformować się bliżej u kpiarzy... ale oni nie wiedzą nic więcej, tylko to, że: każda Eugenja...

A ja jednak myślę, że może w tem być coś głębszego, coś mądrego, coś, co może naprawdę przyczyni się do wydzwignięcia rasy ludzkiej z bagienka, w które zabrnęła, trafiając w przelomową brózdę, gdzie natura już nie reguluje biegu spraw, a kultura jeszcze ich nie reguluje. I choć nie jestem Eugenją, poszukującą Eugenjusza, chciałabym zapoznać się, zupełnie serjo, ze stowarzyszeniem eugenicznem, z jego dążeniami, ideałami i drogami, wiodącemi do celu. Jeżeli która z Pań, czytelniczek „Bluszczu” zechciałaby mię poinformować, byłabym niezmiernie wdzięczna i już zgóry dziękuję. M. B. z lubelskiego.

### Jeszcze w sprawie ogniska.

Zdaje mi się, że projekt p. Prażmowskiej powinien być jaknajrychlej wprowadzony w życie. Myślę, że wszystkie, którym on jest znany, są jednego ze mną zdania. Dzień każdy nieublaganie zbliża nas ku starości, przykrej, nawet dla bogatych, a cóż dopiero dla tych szerokich mas biednych, które nic na tę prawdziwie czarną godzinę nie posiadają. Nie traćmy więc czasu na próżne gawędy, a niech najlepsze i najmędrsze z nas zakrzętną się około tej wielkiej i pilnej sprawy.

T. Popławska — Łódź.

### Jak czytać? (w odpowiedzi p. Poli Pawłowskiej).

— Kiedy się czytać nauczymy? stawia Pani słuszne pytanie, gdyż niestety, większość przeciętnych kobiet czyta to, co im do ręki wpadnie. Nie interesuje ich autor, wystarcza jakiś sensacyjny tytuł. A gdy spytać o treść książki czytanej, to weźmie przeważnie tylko to, co najbanalniejsze, myśli autora nie stara się wcale poznać i zrozumieć. Naturalnie, że takie czytanie książki można ze spokojem nazwać analfabetyzmem, gdyż ono nic nie daje. Ale ponieważ wszystkiego trzeba się uczyć, tem trudniej jest umieć dobrze czytać.

Nie jest to wcale tak łatwe, poznać literaturę o tyle, by móc z niej wybierać, nie mówię już, same perły, ale chociażby szlachetniejsze kamienie. Tem więcej, że w kierunku propagowania dobrej książki mało się u nas robi. Czytamy naogół mało i bardzo nie wyborowo.

Trzeba więc przedewszystkiem zaszczepić miłość i poszanowanie książki. Tego muszą się podjąć miłośnicy i przyjaciele literatury drogą pogadanek i odczytów, wykorzystując każdą sposobność większego zbiorowiska osób, czy to w rodzinie czy wśród znajomych. Gdy mamy dobrą książkę, nie chowajmy jej, chroniąc przed zniszczeniem, ale dajmy w bliskim otoczeniu, by była czytana jak najwięcej. Największa to krzywda dla autora, gdy jego książki leżą, choćby w najwspanialszych szafach i oprawach, nieczytane. Powinniśmy też jaknajwięcej mówić o książkach ze znajomymi.

Czytelniczki „Bluszczu” proszę najuprzejmiej o krótkie wzmianki w „Naszej Mównicy” o przeczyta-

nych dobrych książkach. co w dużej mierze przyczyni się do pogłębiania sztuki czytania książki przez szersze masy.

Róża Machówna — Poznań.

### Rada (w odpowiedzi pani W. M.).

Tak, ma rację p. M. B., gdy mówi, że nie można, nie znając i to niezmiernie dokładnie, lepiej, niż możliwe z opisu: domu, dziecka, otoczenia i samej wychowawczyni, dać dobrej rady, jak się zachować, jak odpowiedzieć, jak postąpić z trudnym dzieckiem w trudnej sytuacji. Jednak p. W. M. pisze, że życie wydaje jej się męczeńskim, to też okrutnie ciężko zrezygnować z wszelkiej pomocy doraźnej człowieka, który się męczy i który wyciąga rękę... No i załóż nie po to są nasze własne niedoskonałości i cierpienia, żeby stać się dla nas lekcjami wyrozumiałości i współczucia? Więc postanowiłam i ja napisać, podając radę, może niepraktyczną, może nadaremna, może, z zawstyżeniem wyznając: naiwną, ale... pomogło mnie samej przed laty w nieco analogicznej sytuacji, więc, a nuż i teraz się przyda?

Czytałam raz o pewnej miliarderce amerykańce, którą tak mierzilo życie w zbytkach, że postanowiła spróbować na odmianę krańcowo innego, przez biuro przyjęła skromną posadę Miss-wychowawczyni do chłopczyka w Europie. Po półroczu miała tego dosyć, pożegnała uprzejmie pracodawców, którym się zresztą zaczęło źle powodzić, tak, że i sami rozmyślali nad pozbyciem się zakosztowanej wychowawczyni, i wróciła do Ameryki, skąd niebawem na gwiazdkę dla swego byłego wychowanka przysłała paręset tysięcy dolarów...

Co to ma do sytuacji p. W. M., która zapewne musi pracować i miliardów za sobą nie ma?

Tylko tyle, że raz, będąc w domu, gdzie być nie chciałam, mając pracę i codzienne stosunki z ludźmi, z którymi wolałabym żyć jaknajdalej, wyobraziłam sobie, że owa miliarderka, to ja, i że tylko półroczu udręki mam przed sobą, potem wrócę „do domu” i do życia wedle fantazji, miliarderce przystojnych. A skoro wyobrażenia poszła w ruch, to snuło mi się dalej i dalej... Czemu trafiłam tutaj, do tego niesympatycznego domu?

To rzecz bardzo prosta: ekspjacja... Przed wiekami wieków żyłam kiedyś na ziemi i spotkałam ...pana domu, tego niemilego, ościstego w słowie, z melonikiem i łysiną, ja wtedy byłam bogatym lekkomyślnym paniczem, a on, ładną, głupiuską dziewczyną... uwiodłam ją; przeklinała potem mnie i dziecko zaniedbane... umarłe... teraz wyrokiem sprawiedliwości owa dziewczyna w roli pana zamożnego przekonywa się, jak trudno czasem nie uwodzić dziewczyny, kiedy ładna i głupiutka, a ja, pracująca młoda osoba... A to umarłe dziecko wróciło na świat w osobce mojej niezdolnej rozpieszczonej uczennicy-udręczycielki...

Wkrótce tak sobie wmówiłam, że to wszystko najrzetelniejsza prawda, iż przestało mi być nieznośnie... przecież to tylko półroczu ekspjacji za moją własną, ciężką winę... Dziecko rozgrymaszone ma nawet parę moich cech z dzieciństwa... zaczyna być in-

teresujące i... przecież to było pół na pół przezemnie zamordowane stworzenie... Ludzie, których nie odgarnia o sto mil moja sztywność, których rodząca się wesolość przejednywa, robią się o wiele miłsi, ba! zabawni, sympatyczni nawet, dziewczynka przepada za mną... po półroczu nie wrócę do mego życia miliardarki... po co? i tu jest znośnie...

Jeżeli p. W. M. ma także trochę wyobraźni, może się znarkotyzuje jaką bajką w rodzaju mojej... a w każdym razie po zgaszeniu lampy, niech powraca (nie krępując się, czy on jest, czy go niema) do „swojego domu”, zacerpnąć sił na jutrzejszy dzień... To moja rada!

S. S.

### Używajmy w kuchni wyrobów krajowych.

Szanowne Czytelniczki „Bluszczu”! Sprawa, którą poruszę, jest niby blaha, a jednak bardzo ważna.

Ciągłe czytamy i słyszymy: Kupujmy tylko wyroby krajowe, a tem samem podniesiemy dobrobyt Państwa.

Nie wiem, czy się Panie zastanowiły nad tem, ile naszych pieniędzy płynie do Niemiec za kostki buljonu „Maggi”; zdawałoby się, co taki drobiazg może znaczyć? Porachujmy jednak: Warszawa ma około miliona mieszkańców, niech tylko jedna dziesiąta część tych ludzi kupi codziennie jedną kostkę za 12½ gr., a wyciśnie to miesięcznie 375.000 zł. Ile więc Niemiec zabiera od nas pieniędzy z jednego tylko miasta i, notabene, za co? Za jakieś chemikalje i trochę soli! A mamy przeciw swoje wyroby krajowe, robione z mięsa i jarzyn, a więc i pożywne, i zdrowe, co potwierdzają zresztą analizy i odnaczenia na Wystawie Spożywczej w Warszawie.

Od nas więc zależy, by się „Maggi” nie wzbogacało, przeciwnie, winnyśmy dbać o to, by ani grosza z Polski nie wywiozło, a dla tego musimy same żądać od naszej służby, by kupowała tylko kostki krajowe. Kostka taka kosztuje wprawdzie 40 gr., ale jest to produkt niepsujący się, więc używać ją można parę razy: ¼ cz. kostki starczy, by zupa była zupełnie dobrą. Sosy z tych kostek są doskonałe, jest i ekstrakt krajowy à la „Liebig” i buljon, taki, jaki przed wojną był wyrabiany po dwóch.

Stała Czytelniczka „Bluszczu”.

### Co mówi Kraków.

Zainicjowane przez krakowską korespondentkę „Bluszczu”, odbyło się w Krakowie bardzo liczne i ożywione zgromadzenie kobiet z najszerszych warstw, na którym omówiono dokładnie wszystkie punkty naszej ankiety, dochodząc do następujących wniosków:

1. Przeważna ilość kobiet załatwia sama swe zakupy, nawet dla męża i dzieci.

2. Przeważna ilość kupuje tam, gdzie taniej, ubrania itp. u żydów, a niektóre nawet i zakupy spożywcze załatwiają dorywczo w żydowskich sklepikach. Niewiele znalazło się takich kobiet, które tylko w razie znacznej różnicy w cenie, lub braku odpowiedniego towaru kupują u żydów, a 5 (na setkę zgórą) oświadczyły, że nigdy niczego nie nabywają w żydowskich sklepach.

3. Kobiety nasze owczym pędem lecą na „zagraniczny” towar, sądząc, że jest trwalszy i lepszy. Idea samowystarczalności przenika powoli. Tylko polscy kupcy dają gwarancję, że mają polskie wyroby; przeważna ilość firm żydowskich związana jest z wiedeńskimi, czeskimi i berlińskimi hurtowniami i fabrykami. Mają też wiele szmuglu i taniej sprzedają, oszukując czasem na wadze i mierze.

5 i 6. Kupiec polak jest zazwyczaj opryskliwy, wszelkie reklamacje i uwagi przyjmuje niechętnie, kredytu udziela w rzadkich wyjątkach; przeciwnie zupełnie postępuje kupiec-żyd i tem zjednać potrafi klientelę.

7. Żydzi reklamują się chętnie i dużo, polacy za mało.

Mi-mo — Kraków.